Nr. 4. **27. Marca** **1860.**

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

ZŁOTA GÓRA.

Opowiadanie przy kominku.

(Ciąg dalszy.)

V.

W kościele i w domu.

Wysłałem Grześka do Olszowy z dyspozycyą co mają robić przez dzień cały, a sam zdecydowałem się zostać w Boleszczycach, aby być świadkiem tego wszystkiego, co tutaj dzisiaj stać się miało.

Zaraz po śniadaniu mieliśmy wszyscy udać się do kościoła na mszę świętą, którą miał odprawić ksiądz Ignacy na intencyą wiecznej zgody w rodzinie. A że od wczorajszego wieczora mojej Basi na oko nie widziałem, tęskno mi jakoś było za nią i postanowiłem powiedzieć jej jeszcze przede mszą dzień dobry i śniadanko z nią spożyć. Ale snać pan Bóg za grzech poczytał mi to pragnienie mego serca, że przed nabożeństwem o sobie samym myślałem, bo wszedłszy do kredensu i oznajmiwszy żonie przez kozaczka życzenia moje, usłyszałem przez drzwi opryskliwą jej odpowiedź, że jejmość jeszcze nie ubrana, i że dopiero po mszy świętej, gdy zmieni tualetę, da się widzieć mężowi.

Wróciłem do mojej izdebki i samotny spożyłem przyniesione mi śniadanko. Miałem zwyczaj brać co rana „Złoty Ołtarzyk" do ręki i patrzyć, gdzie mi się sam otworzy. Przeżegnałem się więc i otworzyłem go. Wypadła mi: „modlitwa w utrapieniu". Byłem tej myśli że to prognostyk tego, co się w dniu tym stać miało. Nie wiedziałem, że to miał być prognostyk na całe życie moje.

Otóż odmówiwszy modlitwę, nasunąłem czapkę na głowę i już chciałem wyjść z izdebki, aby jeszcze przed służbą Bożą świeżem odetchnąć powietrzem, gdy w szarej komnacie, w której dotąd było głucho jak w grobie, usłyszałem nagle jakieś krzyki i hałasy. Stanąłem i słuchałem. Pan Krzysztof w jakimś niedobrym był humorze. Krzyczał na starego Sobka i łżył go ostatniemi wyrazami. Po nim wsiadł na furmana, któremu na czczo kazał zjeść kilkakroć sto tysięcy. Pokojowca, który mu przyniósł wodę, posłał do dyabła, a poczciwemu Janowi kazał zdechnąć jak psu. Komuś jeszcze tam życzył, aby go piorun trzasnął a przynajmniej, aby sobie kark złamał, ale tego już słuchać nie chciałem, bo właśnie zadzwoniono w kościele na mszę świętą. I pomyślałem sobie: Głos kościelnego dzwonu rozprasza ćmy złych duchów — a niemi są brzydkie myśli nasze i namiętności.

Jakoż nagle ucichł pan Krzysztof. W długiej ogrodowej alei ujrzałem nasze panie idące do kościoła. Poszedłem za niemi.

W kościółku prócz kolatora i jego domowych nie było więcej nikogo. Byłto dzień roboczy, a ksiądz Ignacy zwykł często mawiać z ambony do ludu, że praca jest także modlitwą. Toteż tylko kilka kalek i staruszków nadciągnęło później o kiju do domu Bożego, a co było przy siłach i zdrowiu, wyszło w pole do pracy.

Tak cicho i spokojnie było w kościółku wiejskim, i taka błogość opanowała serce moje, że do dziś dnia nie mogę zapomnieć tego uczucia, którego w onczas zakosztowała moja dusza. Takie uczucie szczęścia, pomyślałem sobie, napawa serce sędziwego ojca, gdy w rodzinie panuje zgoda i miłość, takiem uczuciem żywi się naród, dopóki zawiść i prywata pojedyńczych nie zamąci czystych uczuć jego i nie podzieli go na ścierające się z sobą stronnictwa.

Pan Jędrzej, staruszek o siwych włosach, siedział w dużem krześle blisko wielkiego ołtarza. Postać jego poważna i stroskana, krzesło wysokie o misternych, starożytnych rzeźbach, i jakaś tajemnicza aureola, która go otaczała, wszystko to przypominało mi mimowolnie jednego z owych królów naszych, któremu troska o dobro narodu twarz pomarszczyła i włos zawcześnie zbieliła. Miał ręce kornie złożone, usta jego poruszała modlitwa do Boga miłości; zapewne prosił Go o zgodę dla swojej rodziny.

Za nim w ławce kolatorskiej siedziały panie. Nie miały one na sobie szat wykwintnych, ale przecież nie byłto ubior codzienny. W dawnych bowiem czasach inaczej pojmowano kościół i modlitwę. Idąc do domu Bożego, brały na siebie nasze kobiety strój okazalszy, bo były tego zdania, że tym sposobem oddają cześć swemu Panu i Stwórcy. Dlatego też każdy strój wykwintniejszy nazywa się u nas świątecznym, a kontusz wielkanocny miał w rodzinie wysokie znaczenie. Dzisiaj mówimy: strój balowy, wizytowy, ubranie na wieczór, koncert lub do teatru, a do pana Boga idziemy w tych samych szatach codziennych, któremi wycieramy kąty kramów publicznych przy sprawunkach przedobiednich. Wprawdzie strojenie się do domu Bożego, ma tę złą stronę, że podnieca próżność i myśli światowe wprowadza do przybytku Boga,

więcej jednak korzyści dla serc naszych przynosiła ta dawna polska uroczystość, z jaką przychodziliśmy do domu modlitwy, niżeli ta dzisiejsza wystudyowana, sztuczna pokora, z jaką w powabnych negliżach wchodzą dzisiaj kobiety do świątyni pańskiej.

To też pani Jędrzejowej bardzo do twarzy była szuba szafirowa z tkaniny lugduńskiej, czepiec z czarnego aksamitu przy białym kornecie doskonale się wydawał, a sześć sznurów korali czerwone rzucały światło na otwartą książkę, na której właśnie czytała pobożna kolatorka. Ręczę wam, że mimo tego bogatego stroju niemała była pobożność w duszy tej polskiej matrony, a może większa pokora przed Panem Zastępów od niejednej dzisiejszej pokutnicy w szarym szlafroczku *à la religieuse*.

Panna Pulcherya miała już trochę więcej światowej pretensyi. I nie dziw. Stara panna jestto jak człowiek, który spał lat kilkanaście i potem nagle się obudził. Włosy mu zbielały, twarz okryła się zmarszczkami, ale w głowie jego pozostały te same jeszcze myśli, z jakiemi spać się położył, i w sercu te same młode pragnienia, z któremi zasnął przed laty kilkunastu. Panna Pulcherya od pierwszych marzeń swoich nie postąpiła dalej ani kroku. Kilkanaście lat ubiegło, jak sen przesunęła się martwa rzeczywistość przed jej oczyma, nie otarłszy się o jej marzenia, nie zdmuchnąwszy z nich wiosennego pyłku, jakim oprószone są skrzydła motyle. Czas odleciał, włos zbielał, twarz pożółkła, ale w jej sercu nic nie tknęło tego pyłku wiosennego, pozostał on, jakim był przed trzydziestu laty. To też dziwna dysharmonia była w całej postaci panny Pulcheryi. Na głowie miała kwiatki i kwiatuszki, czółko seledynowe z czerwonemi wstążkami, a tuż poniżej żółta w szafranie farbowana chusteczka obwiązywała jej twarz wyschłą, po jednej stronie nieco opuchłą. Panna Pulcherya cierpiała często na fluksyą. W całym jej stroju walczyła zalotność młodziutkiego serca ze starością ciała.

Panna Anastazya była świeżo i stosownie do swego wieku ubrana. Widać tam było rękę matki, która przy myślach pobożnych i o tem nie zapomniała, że w dóm zjechał konkurent. Tylko te piękne dołeczki na różowej jej twarzyczce nie bardzo stosowały się do „Złotego Ołtarza“, ale trudnoć było w domu je zostawić, kiedy się o tem wiedziało, że i pan Marcin będzie na rannej mszy świętej.

I w samej rzeczy nadszedł pan Marcin. Byłto chłopiec jak malowany, czerwonego oblicza, czarnych wąsów i więcej niżeli średniego wzrostu. Ubiór jego był przyzwoity, chociaż nie bardzo wykwintny, a silna postać okazywała, że zawczasu wprawił się do pracy i mniej myślał o zaletach swojej powierzchowności, chociaż te i tak były niepoślednie. Poczciwość i otwartość patrzyła mu z dużych błękitnych oczu, którym miałbym tylko to do zarzucenia, że zamiast świętych pańskich szukały czem prędzej rumianej twarzyczki panny Anastazyi, i w tych niepoczciwych dołkach całkiem utonęły. Byłoto wprawdzie w obec Boga grzechem niemałym, ale że grzechy podobne nie często się w życiu człowieka powtarzają, to jakoś można go potem odpokutować, mianowicie, jeźli te twarzyczki różowe z swemi zalotnemi dołkami przemienią się po ślubie we furye żywota naszego, o czem także wiele miałbym do opowiadania.

Z synów pana Jędrzeja jeden pan Kajetan był starannie wyświeżony. Postawił sobie kołnierz od koszuli aż pod sam nos i z takiem zadowoleniem uśmiechał się do jakichś myśli swoich, iż mógłbym go śmiało posądzić, że myślał o zadartym do góry nosku panny Klary, chociaż ta, jak każda biedna sierota na tym świecie, z pokorą główkę pochyliła i zdawało się, że prócz Boga i opiekunów swoich, nic w koło siebie nie widziała. Makary był dosyć zaniedbany, jak każdy uczony człowiek, który więcej nad dobrem ludzkości niżeli nad swoją kapotą przemyśliwa.

Oglądałem się po całym kościele, mojej Basi, pana Sylwana i Krzysztofa jeszcze nie było. Onufry, karbowy księdza Ignacego i jedyny jego ministrant wyglądał kilka razy z zakrystyi, i patrzał po całym kościele. Widocznem było, że ksiądz Ignacy czekał na nich ze mszą, a najbardziej zdaje mi się na pana Krzysztofa, nad którym radził mu Onufry (jak się później dowiedziałem) przeczytać *eripe me Domine,* to jest modlitwę, którą zazwyczaj czyta exorcysta nad głową opętanego.

Teraz weszła moja żona do kościoła. Była całkiem popielato ubrana jak Popielec, który dawniej w dyalogu z Wtorkiem zapustnym miał ważną rolę w reprezentacyach klasztornych. Z razu podobała mi się ta skromność i pokora mojej Basi. Popielaty szarafanik, popielata przyjaciółka, popielaty czepiec i rękawiczki tegoż samego koloru bardzo ładnie i skromnie ją ubierały. Dowiedziawszy się jednak przy obiedzie, że po ten strój popielaty musiał Sobek cwałem do Olszowy pędzić, przyczem panu Jędrzejowi deresza ochwacił, a pani Rogatyńska aż zamek od kufra odbiła, aby zachceniu pobożnej żony mojej dogodzić: pokiwałem na to głową i byłem pewny, że otwierając jutro ›Złoty Ołtarzyk‹ znowu wypadnie mi ›modlitwa w utrapieniu‹. Jakoż w istocie tak było. —

Razem z moją żoną wszedł pan Sylwan, niecnota, i musiał coś bardzo krotochwilnego mojej Basi przez drogę prawić, bo zaledwo na widok św. męczennika Wawrzeńca, którego obraz był w wielkim ołtarzu, mogła się od śmiechu wstrzymać i twarz swoją nastroić do modlitwy. Sylwan miał na sobie krótką kurtkę z jakiejś kraciastej materyi. Poznałem po jego zachowaniu się, że należy do rzędu tych ludzi, co to myślą, że Boga nie ma w kościele. Głupcy, oni Go tylko w swojem sercu nie mają!

Już trzy razy wyglądała z zakrystyi kędzierzawa Onufrego głowa, a nawet ksiądz Ignacy dwa razy na ławkę kolatorską spojrzał, a pana Krzysztofa jeszcze nie było. Wreszcie ktoś przed drzwiami głośno odkrząknął, splunął, a gdy mimowolnie do drzwi się

obróciłem, obaczyłem wchodzącego do kościoła pana Krzysztofa.

Dziwne wrażenie uczynił na mnie ten człowiek. Teraz dopiero mogłem bliżej mu się przypatrzyć. Był słusznego wzrostu, chudej figury, mógł mieć lat sześćdziesiąt. Resztki włosów jeżyły mu się na głowie, która miała kształt wilczy. Coś okropnego było w jego wejrzeniu. Toczył oczyma w około, a nigdzie niemi nie spoczął. Zdawało się, że jak wilk krwi chciwy, szuka przedmiotu, na który mógłby się rzucić.

Ale to wszystko mogło być uprzedzeniem z mojej strony. Tyle dziwnych rzeczy słyszałem wczoraj o nim, że wyobraźnia moja mogła bardzo łatwo widzieć to, czego w rzeczywistości nie było. A przecież nietylko na mnie zrobił ten człowiek tak przykre wrażenie. Widać było, że i stary Onufry uległ temu samemu, co i ja, wrażeniu, bo stojąc przy progu zakrystyi nakręcił ucha chłopcu mszał trzymającemu, i przy wyjściu księdza Ignacego aż dwa razy zadzwonił, chociaż to była msza cicha.

Pan Jędrzej kiwnął ręką na pana Krzysztofa, aby usiadł obok niego w dużem krześle, w takiem samem, w jakiem on siedział. Pan Krzysztof jednak pokręcił głową i został przy drzwiach, jak ów celnik, który rzekł: Panie, nie jestem godzien, abym się zbliżył do Ciebie. Widząc to pomyślałem sobie: Źli są ludzie, którzy jak ów faryzeusz biblijny wpychają się przed majestat boży, wołając: Panie, my nie jesteśmy jak owi celnicy; ale stokroć gorszym jest człowiek, który z pychą i herezyą w duszy staje przy drzwiach kościoła i jako obleśny świętoszek mówi: Niegodny celnik jestem, a tymczasem myśli w sercu, coby tu skorzystać można.

Jakie myśli w tej chwili miał pan Krzysztof, tego nie wiem, to jednak pewna, że mnie ogarnął jakiś strach tajemny. Zwróciłem oczy na wielki ołtarz i gorąco zacząłem się modlić.

Przy końcu każdej modlitwy mimowoli patrzałem na pana Jędrzeja. Twarz jego spokojna, oczy szukające gdzieś w górze Boga miłości świadczyły o wewnętrznem szczęściu jego. On nie prosił, ale dziękował Bogu za zgodę i miłość w rodzinie i tak się jakoś cały w tej dziękczynnej modlitwie rozpłynął, że w tej chwili żyćby przestał, gdyby mu kto jego wiarę w zgodę i miłość rodzinną odebrał. Westchnąłem, i coraz goręcej modliłem się do Boga, który czyta przyszłe losy nasze.

Inaczej na tę całą scenę patrzał stary Onufry. Przy każdej godziwej sposobności oglądał się na kościół. Był pewny, że podczas Ewanielii ujrzy z ust pana Krzysztofa wylatującego złego ducha, jeźli nie w psiej postaci z końskiemi kopytami, to przynajmniej w postaci nietoperza, jeżeli mu tak wygodniej wylatywać. A gdy ta katastrofa podczas Ewanielii nie nastąpiła, odłożył ją do *„sanctus“*, w mniemaniu że głos święconego dzwonka zmusi dyabła do ewakuacyi swojej dzierżawy. A gdy to nawet przy *„agnus dei“* nie nastąpiło, złożył wszystko na księdza Ignacego, który rad jego nie usłuchał, i złego ducha ostrzejszemi środkami wypędzić nie chciał.

I tak skończyła się msza cicho i bez exorcyzmu. Każdy z obecnych wyniósł z sobą wiarę w zgodę i jedność, tylko stary Onufry był tego zdania, że dyabeł został i to w samej gardzieli pana Krzysztofa, dokąd już się był do wyjścia wysunął. I może też najsłuszniej sądził poczciwy Onufry. Prostaczkowie widzą częstokroć czystem sercem swojem dalej, jak my rozumem. Opowiadają tylko te widzenia innemi od nas słowy.

Wyszedłszy z kościoła, przekonałem się, że przecież nie tak źle musi być z panem Krzysztofem, jak to sobie obaj ze starym Onufrym podczas mszy świętej wyobrażaliśmy. Pan Krzysztof był dobrej myśli, z wszystkimi przywitał się jak najserdeczniej. Dziwił się, że panna Anastazya tak sporo już podrosła, i tłumaczył się chorobą umysłu, która nie pozwalała mu widzieć się z rodziną swego krewnego. Pannie Pulcheryi tyle ładnych nagadał rzeczy, że się jak alkiermesz zarumieniła i zalotnem oczkiem w koło siebie spojrzała. Dostało się przytem i synom pana Jędrzeja, których uściskał z całą serdecznością bezdzietnego krewnego, mającego zamiar zostawić po sobie znaczny majątek. I biednej sierocie coś się ukroiło. Pan Krzysztof powiedział kilka słów o Kajetanie, którego wysokie kołnierzyki stały tuż za nią, a powiedział to z tak dziwnym akcentem, że Kajetan po brodzie się musnął, a panna Klara oczęta w ziemię spuściła.

A gdy ksiądz Ignacy w nowej, świątecznej sutannie do nas się przyłączył, zawołał pan Jędrzej ekonomów i karbowych, i rozkazał im, aby się na dzisiaj od wszelkich mniej pilnych robot wstrzymano. Z lamusu kazał wytoczyć kilka beczek piwa, aby czeladka trochę się rozweseliła, a nas wszystkich zaprosił do sali makatowej, gdzie suto był już stół dla nas zastawiony.

Korzystając z sposobności wymknąłem się z sali, w której jeszcze kobiet nie było, aby na osobności mojej żonie rękę ucałować, jakto od niejakiego czasu na dzień dobry czynić zwykłem. Ale jużto jakieś fatum prześladowało mię w tym domu w moich afektach. Nie tylko, że życzeniu memu nie stało się zadość, ale zostałem srodze ofukniętym, że zabieram jej czas potrzebny do zmiany tualety.

Przebywszy te i jeszcze inne mniej ważne wydarzenia przedobiedne, do których także należało, że pan Sylwan aż dwa razy moją żonkę w rękę pocałował, a ona na to jak najchętniej przystała, przystąpiliśmy wreszcie do obiadu, który miał być pamiętnym na długie czasy w rodzinie pana Jędrzeja.

A gdy stare winko już sporo i serca i czupryny nam rozgrzało, a nawet i panie, pomaczawszy kilkakrotnie usta w kieliszkach, żywszej nabrały cery, wstał pan Krzysztof i donośnym zawołał głosem:

— Do ciebie mówię najprzód waszmość Jędrzeju! Widzę, że chcesz abym sam pierwsze powiedział słowo. Niechże i tak będzie. Obiecałem zapisać ci cały

mój majątek, otóż chcę to uczynić w obec twojej rodziny.

Na co ozwał się pan Jędrzej:

— Bóg mi świadkiem, że na to słowo twoje bynajmniej nie czekałem. Już szczęściem mojem jest, że cię widzę śród mojej rodziny, a jeśli nam swoje serce zapiszesz, to podziękuję Bogu jakby za najwyższe dobrodziejstwo jakie.

Wyżółkła twarz pana Krzysztofa zadrgała jakimś szyderczym uśmiechem, ale prędko owładnął siebie, zwalczył złego ducha, który w tej chwili coś mu podszepnął, a wyciągając rękę do pana Jędrzeja zawołał:

— Przyjaźń wasza jest dla mnie wielkim skarbem, tem większym, że na nią nie zasłużyłem. Toż rad jestem choć w części za nią wam się odpłacić. Cóż wam więc mogę dać?

— Serce, serce panie Krzysztofie! zawołało kilka głosów naraz.

— Żądacie odemnie rzeczy, której nie mam! odparł pan Krzysztof i tak zimnym wzrokiem patrzył do koła, że nam wszystkim zrobiło się nagle zimno. Każdy z nas mimowoli musiał uwierzyć, że kto tak patrzy, ten musi mieć lód w sobie. A gdy na tę dziwną odpowiedź pana Krzysztofa wszyscy po sobie spojrzeliśmy, jakoby pytając się wzajem, co te słowa znaczą, usiadł pan Krzysztof z twarzą zadowoloną i rzekł:

— Serca wam nie dam, bo go nie mam, ale dam to, co mi mój ojciec w puściznie zostawił.

Jakoś markotno zrobiło mi się, bo właśnie w tej chwili przyszło mi na myśl, że pan Krzysztof jest z rodu Sicińskich.

Co sobie zaś Boleszczyccy przy tem myśleli, tego nie wiem, ale to pewna, że słowa pana Krzysztofa zrobiły na wszystkich jakieś niemiłe wrażenie. Niejaki czas trwało milczenie, bo nikt a nawet ksiądz Ignacy nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Widać było po uśmiechniętej twarzy pana Krzysztofa, że wewnątrz tryumfował.

— Odpowiedź moja może zadziwia was, mówił po chwili, ale przecież z całego mego względem was postępowania mogliście wnosić, że serca nie mam.

W tych słowach było coś tak tragicznego, że każdy z nas jakoś się zamyślił, i głuche milczenie panowało w około. I w samej rzeczy, pan Krzysztof wyglądał w tej chwili jak człowiek bez serca. Trupia, posągowa bladość była na jego licach, z pod siwych brwi patrzało zimne, szydercze oko. Pierwszy przyszedł do siebie ksiądz Ignacy i rzekł:

— Jużto waszmość panie Krzysztofie mówisz pod figurą, a kobiety aż pobladły ze strachu, bo im się zdaje, że w samej rzeczy w twojej piersi nie ma serca, tylko jakieś *vacuum*. A przecież uczy nas doświadczenie, że najgorszy zbrodniarz jeszcze serca nie traci. Są chwile w których ono się odzywa. Panie Krzysztofie, co cię wiodło tutaj przez lat dziesięć w wilią św. Floryana?

Pan Krzysztof uśmiechnął się, machnął ręką i w te ozwał się słowa:

— Dyspucie daj pokój księże Ignacy, bo ona nigdzie nas nie zaprowadzi. Że serca nie mam, to rzecz łatwa do wytłumaczenia. Czytałem w jakiejś starej książce, że serce rośnie u dziecka w uściskach matki. Gdy matka dziecię do łona przytula, lub gdy ojciec je całuje, wtedy rozszerza się to serce i wciąga w siebie pieszczoty matki i pocałunki ojca. W późniejszym życiu oddaje je przyjaciołom i własnej rodzinie. Cóż ja oddać mogę, jeźli od nikogo nic nie wziąłem?...

Spojrzałem teraz na pana Krzysztofa. Twarz jego była jakoś tak piękną w tej chwili, żebym go wcale nie był poznał.

— Serca mego nie ogrzały pieszczoty rodzicielskie, mówił dalej z tymże samym pięknym wyrazem na twarzy, obca piastunka karmiła mnie, obcym do mnie przemawiała językiem. Świat mnie zawiódł, ludzie odemnie uciekli....

Pan Krzysztof zamilkł, coś strasznego jak błyskawica zwiastująca piorun przemknęło po jego twarzy. I nagle znikł gdzieś ten chwilowy piękny wyraz jego twarzy, usta wykrzywiły się szyderczym uśmiechem, ożywiona źrenica zagasła, jakby ją dym jakichś niedogarków zasłonił. Gbybym był starym Onufrym uwierzyłbym, że w tej chwili wszedł znowu szatan w pana Krzysztofa, którego na krótką chwilę był odstąpił.

Wychyliwszy duszkiem szklankę wina, zaśmiał się śmiechem przeraźliwym i rzekł:

— Romanse, romanse, panie Jędrzeju nic więcej! Gdyby ktoś nas podsłuchał, myślałby, że jaką powieść sentymentalną układamy. Przystąpmy do rzeczy.

Wszyscy milczeli, a nawet Sylwan niecnota, który mówiąc nawiasem, koło mojej żony siedział, także zamilkł i coś mocno się zamyślił. Pan Krzysztof mówił dalej:

— Opuszczając wszelkie niepotrzebne dekoracye jako ludzie dojrzali, przystępuję wprost do słowa, którego wszyscy pragniecie. Zapisuję wam „Złotą górę“!

— Krzysztofie, panie Krzysztofie! zawołało kilka głosów naraz.

Pan Krzysztof uśmiechnął się brzydko i mówił dalej:

— Otóż widzicie, co ludzi w extazę wprawić może. A więc dajmy pokój sercu, jeźli kilkanaście włok ziemi, kilka szop i karczma przy krzyżowej drodze tak miłą sprawiają emocyę. Człowiek chce być faryzeuszem sam dla siebie. Po co tego?

Twarz pana Jędrzeja poczerwieniała jak pąs, podniósł się z krzesła, wystawił prawicę jakby do przysięgi i zawołał:

— Oto klnę się na Boga, że w sercu mojem nigdy nie powstało pragnienie sukcesyi po tobie kochany Krzysztofie, i jeźli szczerze myślisz o zgodzie, nie mów więcej o „Złotej górze“.

Pan Krzysztof zaśmiał się, spuścił oczy na talerz i mówił nie zważając na pana Jędrzeja:

— „Złota góra“ według ostatniego wyrachowania ma sześćset morgów ornego gruntu, dwieście łąk a pięćset lasu. Są wprawdzie w dolinach mokre pola, ale jakie takie rowy, a plon będzie nieszpetny. Trzy karczmy, z których jedna na krzyżowej drodze niesie tysiąc złotych. Dwa młyny i tartak także coś znaczą. Suma sumarum można mieć dochodzik czysty do sześciu tysięcy, a jeźli kto zechce poforsować, to i więcej.

— Krzysztofie! chciał mu przerwać pan Jędrzej.

— W sąsiedztwie, mówił dalej pan Krzysztof, jest ładna, bogata panna —

Przy tych słowach widziałem jak panna Klara nagle zbladła i na Kajetana tworzliwie spojrzała. Amilkar podkręcił wąsika, a Sylwan i moja żona spojrzeli także po sobie.

— Jest ładna, bogata panna, ciągnął dalej pan Krzysztof z szatańskim uśmiechem — o kilka małych milek mieszka pan Alfred, stryj pana Karola, u którego tenże często bywa.

Tutaj spostrzegłem, że pan Marcin jakoś dziwnie na pannę Anastazyę spojrzał, a ona lekko się zarumieniła. Ciocia także się coś uśmiechnęła i z ukosa zerknęła na swoją elewkę. Tylko pan Kajetan pozostał niezmienny. Patrzył w pannę Klarę jak w tęczę i muskał się po brodzie.

— Jest także i przyległy mająteczek, mówił dalej pan Krzysztof, którego właściciel jest zadłużony. Tanim kosztem można go nabyć i „Z ł o t ą g ó r ę“ zaokrąglić. Czas, aby Boleszczyccy przyszli do dawnego splendoru.

Po wszystkich twarzach przemknęło jakieś jedno i to samo uczucie. Pan Jędrzej był tylko blady i zdawał się zmartwionym.

— Ty nas nie kochasz Krzysztofie, wyrzekł smutno.

— Słowa tego nie żądaj odemnie, poderwał szybko pan Krzysztof — ale zważ co czynię dla was. „Z ł o t a g ó r a“ z wszelkiemi temi nadziejami, które się do niej wiążą, jest waszą. Cóż chcesz więcej odemnie?

— *Satis, satis*, zawołałem wstając, bo mi już żal było pana Krzysztofa, nie dręczcie się daremnie wymówkami. Obaj macie szlachetne serca i tylko drażnicie się wzajem. Co było, już się zapomniało. Szlachetny czyn pana Krzysztofa świadczy o jego szlachetnem sercu, a że się niby do niego nie przyznaje, to czyni to jak piernik toruński, który z razu uszczypnie w język a potem słodyczą gębę napełni.

Mowa moja tak się wszystkim podobała, że *unanimiter* powstali i pana Krzysztofa serdecznie wycałowali, nie excypując i kobiet, które się porządnie spłakały.

Pan Krzysztof wszystkim był rad, jak człowiek, który wielkiego dokonał dzieła, a uwolniwszy się od uścisków zawołał:

— Na Sybir mógłbym bez futra pojechać, tak mnieście rozgrzali waszemi afektami, ale na tem jeszcze nie koniec. To, co teraz nastąpi, jest najciekawsze ze wszystkiego, oraz największą sprawi wam radość.

Wszyscy spojrzeli po sobie. I mnie zebrała ciekawość niemała.

— Dzisiaj mamy świętego Floryana, mówił dalej pan Krzysztof, dzisiaj według testamentu mam wypełnić wolę mego ojca.

Osłupieliśmy z zadziwienia. Teraz dopiero wyjaśniło nam się dzisiejsze postępowanie pana Krzysztofa.

— Jakaż jest ta ostatnia wola ś. p. Floryana? zapytali wszyscy.

Pan Krzysztof uśmiechnął się, a spojrzawszy w koło, mówił zwolna:

— Dziwną, nader dziwną jest ta ostatnia wola mego ojca. A przecież od wypełnienia jej zależy wasze posiadanie całego mego majątku i tego, o czem nawet nie wiecie?

Spojrzeliśmy znowu po sobie. Mowa pana Krzysztofa kryła dla nas tajemnicę.

— Mów, mów panie Krzysztofie, zawołał pan Jędrzej z wytężoną ciekawością.

— Tutaj nie, odparł pan Krzysztof, bo w testamencie mego ojca są rzeczy, które przed światem mają być tajemnicą. I tak jakoś pochłodniało na dworze, po obiedzie przejdziemy zapewne do szarej komnaty. Tam, przy pryskającym ogniu opowiem wam rzeczy, które was jeszcze więcej zadziwią, jak moja dzisiejsza metamorfoza, w którą jak widzę dotąd pan Jędrzej nie wierzy.

Pan Jędrzej wstał aby Krzysztofa uściskać, a pani Jędrzejowa zawołała służbę, aby w szarej komnacie wszystko do poobiedniej pogadanki przygotować.

Na twarzach wszystkich malowało się wielkie oczekiwanie.

(*D. c. n.*)

Z DRAMATU A. MAŁECKIEGO

pod tytułem

JADWIGA.

Aktu czwartego

Scena IV.

(Rzecz dzieje się w Krakowie. Scena przedstawia wielką salę w gotyckim stylu. Na środku stół wielki, zastawiony jakby do uczty. — Występuje GNIEWOSZ, podkomorzy krakowski, i ogląda się po sali w około).

GNIEWOSZ.

Dobrze! — Jak w zamku. Nawet piękniej jeszcze!
Czegoż tu braknie, choćto, odpuść Boże,
Tylko refektarz Fratrum Mendicantium? —

(z ironią)

Wielkąż wyrządził nam stary kasztelan
Oto więc krzywdę, że Wawelu bramy
Przed gościem naszym zaryglował szczelnie!

My się tu bawim! Dobre u nas czasy,
Chociaż w klasztorze . . . .

(spoziera po ścianach)

Co też te mury teraz sobie myślą?
O jakaż zmiana rzeczy! A to wszystko
Wymysł tej mądrej głowy:

(gładzi się po czuprynie)

Z refektarza
Zrobiłem oto komnatę biesiadną;

(wskazuje na przyboczne apartamenta)

Z biblioteki wyrzuciłem księgi,
I brzmią grajkowie teraz tam od ucha,
Aż nogi skaczą Franciszkanom w celach! —
Biedne dziewczysko! niech się z nim nacieszy —
Młodzi oboje, owo istne dzieci,
Niechaj pląsają i użyją świata,
Dopóki pora. Wie tam Bóg, co będzie!
Panisko dobre, przyłóż go do rany,

(uderza się po kieszeni z uśmiechem)

I mnie z nim dobrze! — Gdyby został królem,
Żyć nie umierać. — Ale gadaj z nimi,
Gadaj z tą mądrą, o! przemądrą radą!

(kręcąc głową)

Hm, hm, niedobrze! bardzo się zawzięli.

(uchyla drzwi z prawej strony sceny)

Grzesiu, gdzieś zagrzązł?

GRZEGORZ (dworzanin)

Jestem na skinienie.

GNIEWOSZ

Dokąd odchodzisz? Czyto na tych stołach
Bez roztruchanów zastawimy misy?
Takto pilnujesz powinności służby?

GRZEGORZ (kłaniając się)

Przebaczy Miłość Wasza, alem słuchał
Nowin z daleka, zgoła niespodzianych . . . .

GNIEWOSZ.

Jakichże nowin? Kto przybył z daleka?

GRZEGORZ.

A tożto pono xiążęta litewskie
U Sandomierza już — —

GNIEWOSZ (przerywa groźnie)

Pijanyś znowu?

GRZEGORZ.

Widzi Bóg, anim nie skosztował miodu!
Jako tu stoję. Ale, jak powiadam,
Oto powrócił właśnie pan Tęczyński
Z miejsca, z obozu, i człek z jego służby
Dziwy na mieście powiada o bitwie,
Którą co tylko wygrał.

GNIEWOSZ (przerywa)

Kto? Tęczyński?

GRZEGORZ (z ferworem)

Gdzie tam Tęczyński! Litwin! z Krzyżakami! —
Więc z Mazurami zgoda i ze Semkiem!
Więc wiozą wielkie po Krzyżakach łupy,
Z tłumem narodu do Krakowa ciągną
I będzie tedy wesele na pewno!

GNIEWOSZ.

Nowiny z piekła! Tego jeszcze trzeba!
Co teraz począć? Czy go licho wiedzie?
O źle Gniewoszu! — Ale czas upływa
A tu trza rady i gorącej rady!

(odchodzi do pokojów po lewej stronie)

GRZEGORZ.

„Z piekła nowiny!“ Ha! jeżelić z piekła,
To uchodź Grzesiu, bo za dobre płacą,
Ale za takie — —

(wstrząsa się)

już tu Grzesia nie ma!

(wybiega spiesznie).

Scena V.

Występuje JADWIGA, OBCY KSIĄŻĘ, GNIEWOSZ; po niejakim czasie przybywają i wszyscy zgromadzeni GOŚCIE.

GNIEWOSZ.

Jest, jak powiadam. Już u Sandomierza!

JADWIGA.

Kto go tu przyzwał, kto jego tu wiedzie?

GNIEWOSZ.

A któżby? Nasi, co doń pojechali!

JADWIGA

(przytulając się do książęcia)

Teraz Wilhelmie! nadzieja ma w tobie,
W tobie jedynym!

KSIĄŻĘ.

O najdroższa moja,
Nie bój się, ufaj! — By i legnąć trupem,
Z rąk nie odbiorą mi ciebie!

GNIEWOSZ.

Zaprawdę,
Wszystko to piękne, do wielbienia skłania,
Ale się nie zda na nic. Legniesz trupem
Najmiłościwszy Panie, i odbiorą!

KSIĄŻĘ.

Cóż ty więc radzisz?

GNIEWOSZ (chytrze)

Przedewszystkiem raczcie
Wysłuchać reszty, co ów goniec prawi.
Widział Jagiełłę, brzydki i zarosły —
Włosy już siwe, oczy jakieś straszne,
Zwyczaje grube; więcej niż do człeka,
Podobny pono — oto do niedźwiedzia!

KSIĄŻĘ.

Miły małżonek! nadobny monarcha!

GNIEWOSZ.

Moja więc rada taka: jak stoimy,
Z dworem i gośćmi obecnymi idźmy

Wraz ztąd przed ołtarz, do świątyni pańskiej,
(Wszak do niej blisko, jesteśmy w klasztorze);
I choć nie biskup, lecz prosty zakonnik
Zwiąże wam ręce, Miłościwi Państwo,
Zjedzie Jagiełło — na wesele — może!
Lecz *nie* na swoje! i potańczy na niem,
Zje i wypije, co tam Pan Bóg zdarzy,
A pobawiwszy choćby z ruski miesiąc
U nas w gościnie, powróci zkąd przyszedł
I będzie dobrze; — ot co jest i basta!

KSIĄŻĘ.

Jadwigo moja, co ty na tę radę?

JADWIGA milczy.

KSIĄŻĘ (po chwili).

Niegodzien szczęścia, kto być śmiałym nie śmie!
Oni do swego idą prosto celu,
I przemagają! Idźmyż do naszego
I *my* więc prosto, a wygrana nasza!

JADWIGA.

Ty żądasz tego? Ach! i matka w liście
Radzi to samo!

KSIĄŻĘ.

Więc czyńmy, co radzi!

JADWIGA.

O! gdyby można, gdyby się godziło!
Lecz czyż ich nie znasz? Czyż oni ustąpią?
O! ja wiem lepiej, jakie ich zamiary,
Jakie pobudki! Oni *nie* ustąpią,
O! nie ustąpią nigdy! nie pozwolą,
Żebyś ty królem ich być miał — i raczej
Krew swą i życie rzucą nam przed nogi
Lub tobie wydrą twoje — — —

(zakrywa sobie oczy)

o! przenigdy
I żadną miarą tego nie dopuszczę!

(opuszcza ręce od oczu)

Znam serce moje! — gdyby przyszły rzeczy
Na taki koniec: — między nich a ciebie
Koronę moją rzuciłabym w środek,
By ją włożyli na głowę Jagielle . . .
I miałbyś żonę, ale nie królowę,
Miałbyś bez domu i wiana sierotę,
A takie śluby — — tybyś niemi wzgardził!

KSIĄŻĘ.

Kochanie moje! czyż ze wszyskich ludzi
Ciebie jedyną, po nad wszystkie skarby
Całego świata nie umiłowałem?
Droższaś nad wszystko i w jednej sukience!
Nie twej korony pragnę, ani krajów,
Ciebie to samę kocham i uwielbiam,
Ciebie, jak teraz stoisz tu przedemną,
Ciebie, co wtedy, gdy mi cię oddano,
Wszakże nie byłaś królową — —

JADWIGA (przerywając)

Pozwalasz
Zatem się wyrzec tego ich królestwa?

(podając mu rękę)

I przyjmiesz rękę, pozbawioną berła?

KSIĄŻĘ.

(z miłością, zatrzymując jej rękę w dłoniach)

Kraina moja piękna jest! Na zamku
Moim ojczystym będzie miejsca dosyć
Dla mnie i ciebie . . . Co nam po tym tronie?
Będziem szczęśliwi, kiedy będziem z sobą,
Wszędzie, na końcu świata, na pustyni:
A cóż dopiero na błogiej dolinie
Oblanej mego Dunaju wodami,
Gdzie mi tak dobrze, gdzie niebo tak piękne.
Góry nas wieńcem tam opaszą w koło
Wiecznie zielonym, tam jest wszystko inne —
I ludzie lepsi! podobniejsi pierwszym
Rodzicom naszym, bo i kraj ten boży
Nie mniej od raju jest pono uroczy!
Miłość tam znajdziesz i uległe serca,
Proste, przejęte czcią dla mego rodu; —
Nie będzieć żalu, żeś rzuciła Polskę
Dla mnie — dla twego — który cię ubóstwia,
Który ci kwiatem całą drogę życia
Pragnie uścielić — miłością otoczy — —

(Jadwiga rzuca mu się w objęcia; potem — z natchnieniem)

JADWIGA.

Teraz mi lekko na sercu i błogo!
Wolne mam ręce. Teraz wiem, co czynić!

(do GNIEWOSZA)

Przyzwij dwór cały!

(GNIEWOSZ odchodzi na lewo)

Nie w klasztorze, skrycie, —
W katedrze polskiej, u grobu mych dziadów
Ślub się odbędzie nasz — jawnie, wspaniale,
Wszem ludziom w obec.

(PANOWIE i PANIE dworu królowej, toż cały ORSZAK obcego książęcia przybywają z GNIEWOSZEM.)

Chodźcie, wierni moi,
Kto mi życzliwy, kto Jadwigę kocha,
Chodźcie za nami.

(wskazuje na KSIĄŻĘCIA)

Oto małżonek mój i pan dozgonny,
Z woli rodzica zaręczony ze mną.
Jemu dziś wiarę przysięgnę i miłość.
Wzywam na świadki was obrzędów świętych,
Które przed Bogiem złączą nasze ręce,
Jako złączeni jesteśmy sercami
Od dawna, z dzieci!

(Bierze KSIĄŻĘCIA za rękę i wychodzi).

GŁOSY z ORSZAKU

W ogień za królową!

(Wszyscy wychodzą. GNIEWOSZ sam jeden zostaje na scenie).

GNIEWOSZ (po chwili milczenia)

Dzieło wyrosło mistrzowi nad głowę!
Tego nie chciałem — niedobrze się stało!
Jeśli koronę złoży i odjedzie . . . .
Co ty Gniewoszu wtedy poczniesz z sobą?

(po chwili)

Ha! jakoś będzie, — pojadę za nimi.

(odchodzi)

Scena VI.

Podwórze wewnętrzne zamku królewskiego. W głębi sceny część murów opasujących zamek, z bramą otwartą na oścież. Z lewej strony fronton Katedry, z prawej inne zabudowania. — U bramy PANOWIE i RYCERSTWO polskie, którego liczba w ciągu sceny coraz się powiększa. — Trębacz daje sygnały od czasu do czasu.— Na przedzie sceny DOBIESŁAW z KUROZWĘK, kasztelan Krakowski. — Podchodzą ku niemu ze stron przeciwnych JANKO ARCHIDYAKON, podkanclerzy państwa, i JANUSZ TĘCZYŃSKI, kasztelan Wojnicki.

JANKO *) do DOBIESŁAWA

Księga i pióro mi wypadło z ręku
Na to wezwanie nalegliwe Wasze.
Krokiem młodzieńca pędzę, — bez tchu prawie, —
Czego żądacie?

JANUSZ (przybiegając z drugiej strony)

Co się tutaj dzieje?
Wołacie: jestem. Ale czego chcecie?

DOBIESŁAW.

Od Franciszkanów, na ulicy grodzkiej
Widzę tłum ludzi — —

JANUSZ.

Co za jedni?

DOBIESŁAW.

Nie wiem!
Poznałem tylko na przedzie królowę,
Obok królowej Książę, ramię w ramię,
A rzesza ludu — nieprzejrzana okiem —
Płynie za nimi, morzu głów podobna,
Prosto pod zamek.

JANKO.

Więc zamierza sama
Odewrzeć wrota dla niego zamknięte!

DOBIESŁAW.

Gdyby *to* tylko: Ja się gorszych rzeczy
Lękam — —

JANUSZ (przerywa)

I słusznie! Do ślubu go wiedzie!

DOBIESŁAW.

Z ust mi wyjąłeś, co miałem powiedzieć.

---

*) Janko z Czarnkowa, archidyakon gnieźnieński, znany kronikarz. Za Kazimierza W. piastował urząd podkanclerzego; następnie go stracił. Doczekał się sędziwej starości i patrzał jeszcze na połączenie Korony z Litwą w skutek małżeństwa obojga panujących. W dramacie występuje jako Podkanclerzy Jadwigi, choć to historycznem nie jest.

JANUSZ.

Toż kasztelanie, teraz kolej na Was,
Spełnić powinność senatorską Waszę.
Waszej opiece zdano tę stolicę —
I tron królewski — i cześć tego grodu.
Stanie się, sądzę, czego w tej godzinie
Od Was kraj żąda — —

DOBIESŁAW.

Znam powinność moję,
I chciałbym spełnić. Ale dajcie radę,
Jak ją wypełnić? . . .

JANUSZ (z uczuciem)

Nie zapominajcie,
Że na tej chwili wisi przyszłość Polski!

JANKO.

Ale i o tem nie zapominajcie,
Że sprawa jest — z królową, Panią naszą,
Z niewiastą, która się bronić nie może!

Głosy od bramy

Już się zbliżają. — Już przebyli mosty. —

DOBIESŁAW (do rycerstwa)

Mości Panowie!
Komu rycerska cześć i życie lube,
Stać mi tu murem, nie zdejmując oczu
Z mego oblicza! Co skinę, wykonać!
Lecz biada temu, któryby myśl moję
Wyprzedzał, swemu rozumowi gwoli,
I rzeczy wszczynać śmiał na własną rękę!

(Krótka chwila oczekiwania. Rycerstwo u bramy z prawéj i z lewej strony obraca się twarzami ku sobie, bokiem do widzów, tak że przejścia wolnego między jednym a drugim szykiem nie ma od bramy więcej jak dla jednej tylko osoby. Dobiesław staje tuż przy rycerstwie, ale zawsze na przedzie sceny; toż Janko i Janusz. — JADWIGA pokazuje się z KSIĄŻĘCIEM u progów bramy).

JADWIGA (dumnie)

Zatem tę drogę już i mnie zawarto?

(poruszeniem ręki znak dając, ażeby się rozstąpili)

Zdala od bramy! Precz! — Wilhelmie, za mną!

(Rycerstwo stoi nieporuszone. Jadwiga śmiałym krokiem postępuje między obydwoma szykami rycerstwa aż naprzód sceny. Tymczasem dwaj rycerzy, najbliżsi bramy, stawiają na krzyż kopie swoje i tak wzbraniają wnijścia Książęciu).

DOBIESŁAW

(do Jadwigi, z uszanowaniem schylając czoła)

Najmiłościwsza Pani!
Zachowaj Boże i ohyda temu,
Któryby wzbraniać śmiał tobie, Królowej,
Wnijścia do grodu, gdzie się tron twój wznosi;
Lecz jako mego jest urzędu rzeczą
Strzedz progów twoich i napaści piersią
Odpierać śmiało, zkądkolwiek pochodzą,
Tak mi nie wzbronisz czynić, co należy.

(pewnym krokiem idzie do bramy).

JADWIGA

(widząc założone kopiami wnijście, gniewnym głosem)

Przebojem, Książę! Uderz na zuchwalców!
Orężem toruj sobie drogę do mnie!

KSIĄŻĘ
(dobywa broni, do rycerstwa)

Zdala odemnie, komu życie miłe!
Precz!

DOBIESŁAW
(stojąc właśnie przed książęciem)

Zacny książę! czemużeś niepomny,
Że wam te progi przezemnie wzbronione!
W jakim przybywasz do grodu zamiarze?

KSIĄŻĘ (dumnie)

A jeśli powiem, że idę do ślubu,
Na tron — gdzie zechcę, gdzie królowa każe . . .
Tobież więc jeszcze, zgrzybiały zuchwalcze,
Sprawiać się? . . .

(uderza nań orężem)

Broń się! giń! lub na kolana!

DOBIESŁAW
(odbijając szablą swoją oręż książęcia)

Zniża się czoło moje przed książęcą
Waszą godnością, lecz krzywdzić się nie dam!
Zgrzybiały starzec jestem; lecz potrafię
Odeprzeć jeszcze gwałtem gwałt, raz razem,
I wzywam was, zostawcie nas w pokoju!

(silniej)

W imię wszystkiego, co za święte znacie,
Zaklinam was, zostawcie nas w pokoju!
Jeszcze jest pora! Bo rozdmuchać płomień
Łatwo i dziecku; ale trzeba cudu,
Żeby go wstrzymać w ludzkiej woli karbach,
I nie mnie ręczyć za tej zwady koniec! —
Pytam ostatni raz: ustąpisz książę?

KSIĄŻĘ
(rzucając się na Dobiesława)

Prędzej śmierć tobie!

DOBIESŁAW (do rycerstwa)

Zatem szable z pochew!
I za mną wiara!

(Rycerstwo dobywa broni i z podniesionemi szablami wypiera piersiami swemi z bramy książęcia)

Teraz zamknąć bramy! —
Klucze mnie oddać! — —

(zamykają, oddają klucze)

Rozejść się! — Ustąpić!

(oddalają się wszyscy rycerze).

(D. n.)

Pamiątki Trębowelskie

przez

Augusta Bielowskiego.

Uważał to zapewne każdy, kto tylko zajmował się zbieraniem historycznych naszych pamiątek, że wschodnie obwody kraju naszego daleko mniej obfitują w nie, niżli zachodnie. Na przestrzeni od Przemyśla ku Krakowu natrafić można dość często nie tylko w miastach większych, ale i w mieścinach na jakąś biblioteczkę dawną przy kościele, lub szczątek archiwum starego przy magistracie, w których jedno lub drugie nadanie pergaminowe, a nawet xięga cała gockiem pismem nakreślona, przypomni ci zdarzenia miejscowe z dziejów XV, a niekiedy i XIV wieku. Przeciwnie zwracając się ze Lwowa ku Podolowi i Pokuciu nie znajdziesz ich wcale, lub tylko bardzo rzadko w grodach nawet tych co ważną rolę w dziejach naszych odgrywały i do najsławniejszych na ziemi naszej należą, jakiemi są: Halicz, Trębowla, Jazłowiec i tyle innych. Już same nadania i tym podobne pomniki miejscowe z czasów zygmuntowskich należą tu do wielkich osobliwości. Skutek to bezwątpienia owych nieustannych zagonów nieprzyjacielskich i pustoszeń jakich ojczyzna nasza z tej strony od niepamiętnych czasów doznawała.

Trębowla śród urodzajnych wzgórzów Podola, w pobliżu Seretu, nad rzeczką Hniezną położona, ma w stronie zachodniej znaczne jeszcze szczątki zamku, bardzo pamiętnego w dziejach Polski. Nazwiskiem swojem zdaje się sięgać owych czasów, kiedy ta okolica z lasów ogromnych, stanowiących zwykle w dawnym wieku granice między narodami, zwolna się wytrzebiała. Terebieniem zowie się ta czynność według wymowy tutejszej, i na nią zdaje się wskazywać nazwa *Terebowl,* jak ją w Nestorze i w ułamku geograficznym z XIV wieku wyczytujemy. Pierwiastkowo ziemia ta należała do tak zwanych grodów czerwieńskich, i wraz z niemi jednakich losów doznawała. W X. wieku stanowiły one część Polski; dopiero pod koniec tego wieku, mianowicie w roku 981 zdobył je na Polakach Włodzimierz, a Bolesław Chrobry roku 1018 znowu odebrał. W czasach ścisłego powinowactwa ruskich xiążąt z polskimi, wypuszczano te pograniczne grody za obopólnem porozumieniem się różnym krewniakom, którzy przy podającej się ku temu sposobności dzierzawy takie, pod pewnemi warunkami sobie nadane, w xięstwa udzielne zamieniali.

O Trębowli jednak nie ma jeszcze wyraźnej wzmianki w wieku X; dopiero pod koniec wieku XI., mianowicie przed rokiem 1093 zalatuje nas o niej w dziejach pierwszy odgłos. Byłto właśnie czas w którym, nie bez wpływów duchowieństwa, węzły między Polską a Rusią gwałtownie targano. Włodzimierza Wielkiego wnuk po kądzieli i xiężniczki ruskiej mąż, Bolesław Śmiały, ustąpić musiał do Węgier, a Mieczysław, syn jego, zwabiony do Polski, i wraz z żoną Eudoxyą, takoż xiężniczką ruską, otruty. Kraj napadnięty zostaje z jednej strony od Czechów, z drugiej strony od Rusi, która mści śmierć niewinną swoich krewniaków, i ziemie ich sobie pobliższe, jako puściznę po nich zagartuje. W tym samym czasie kiedy Henryk IV cesarz zabór czeski uprawniając mianuje Wratysława królem czeskim i polskim, a w nadaniu z tego powodu odnowionem granice dyecezyi pragskiej u źródeł Bugu i Styru wskazuje,

Wsewołod wielki xiąże kijowski robi wyprawę do Przemyśla. Byłoto w lat pięć po śmierci Bolesława Śmiałego, mianowicie roku 1086. Po niejakim czasie, około roku 1092, rozdaje tenże Wsewołod swoje w tej stronie świeże nabytki synom Amutorakańskiego Rościsława: Wołodar otrzymuje Przemyśl, Wasylko Trębowlę, pierwszy raz wtedy wyraźnie wymienioną.

Nie dobra sława towarzyszyła Rościsławiczom od pierwszego ich w dziejach wystąpienia. Podstępnie podchwytują Włodzimierz pod stryjem swoim Jaropołkiem roku 1084, a gdy ten z pomocą swego brata odzyskuje napowrót swoją posiadłość, w przejeździe do Dźwinogrodu przebija go skrytobójca, Nieradec, i do Rościsławiczów ucieka. Wasylko ledwie się ujrzał panem Trębowli, łączy się z Połowcami, najeżdża i łupi Polskę. Wnet plany coraz zuchwalsze układając obsyła po zadnieprzu błąkające się hordy, wabiąc je nadziejami łupieży. Zapewniwszy się o ich gotowości już mu się marzy że całą Polskę podbije i zemści się za Ruś; już myślą leci za Dunaj, pleni osady bołgarskie i pustki swoje zaludnia; już ściga w stepach Połowce, znosi ich hordy i sławę sobie zdobywa. Śród tych pięknych rojeń jego następuje zjazd pamiętny xiążąt w Lubeczu. Miał on położyć koniec najazdom wzajemnym xiążąt i kraj od nieszczęścia wojen domowych zasłonić. Chwalebny zaiste cel, byle mu skutek odpowiedział. Zjechali się najznakomitsi xiążęta Rusi. Poco, mówili, gubim kraj sami przeciw sobie wojując; Połowce ziemie nasze pustoszą i cieszą się z naszych zatargów. Łączmy odtąd nasz oręż dla dobra naszej ojczyzny, a niech każdy dzierzy spokojnie to co po ojcach mu padło: Świętopołk Kijów po Izasławie; Włodzimierz wsewołodową puściznę; Dawid, Oleg i Jarosław puściznę Światosławową; owi zaś niech mają to co im przeznaczył Wsewołod: Dawid Włodzimierz; Rościsławicze: Wołodar Przemyśl a Wasylko Trębowlę. I wszyscy całowali krzyż. Kto z nas odtąd, mówili, przeciw drugiemu powstanie ten będzie miał nas wszystkich i ten święty krzyż przeciw sobie. To uradziwszy uścisnęli się i rozjechali.

Atoli duch niespokojny Wasylka przejmował trwogą jego sąsiadów, budząc w nich najczarniejsze podejrzenia. Na powodach do nich nie zbywało. Kraj który umowa w Lubeczu zasłonić miała od napaści pohańców, utrapić mieli na nowo przechodami swemi Torkowie, Berendeje, Pieczyngi, sprzymierzeńcy Wasylka. Co z nimi miał rozpocząć? w które strony uderzyć? tego nikt prócz niego nie wiedział, a biegały różne domysły. Bez wątpienia przesadzano w nich na jedną lub drugą stronę, w miarę jak od przyjaciół lub nieprzyjaciół tego xięcia wychodziły. Bojarowie: Turiaka, Łazar i Wasyl poszepnęli o nich włodzimirskiemu xięciu, Dawidowi, ten zniósł się ze Świętopołkiem kijowskim, i niewiele dni upłynęło a już był Wasylko zchwytany i oślepiony.

Zgroza przejmuje czytając wszystkie okoliczności z któremi czyn ten, sam już z siebie okropny, dokonano. Opisał je świadek naoczny, Wasyl, prawdopodobnie mnich, i zdarzeń i miejscowości tutejszych dobrze świadomy. Prosta jego powieść daje nam poznać duch czasu i odsłania niektóre nie bez interesu szczegóły życia ówczesnego. Było to po zjeździe w Lubeczu r. 1097. Wrócił Świętopołk do Kijowa, a przybył z nim także włodzimierski Dawid jako gość. Zdążał też tamtędy ku domowi Wasylko, a spieszno mu było bo przedsiębrał wyprawę. »Przyjechał, powiada spółczesny opowiadacz, dnia 4. listopada i przewiózł się przez Dniepr ku Wydobyczy. I poszedł z pokłonami w monastyr ś. Michała, i wieczerzał tu, a namioty swe rozbił na Rudycy. Gdy zapadł wieczór, odszedł ku swym namiotom. Nazajutrz rano przysłał doń Świętopołk mówiąc: Nie odjeżdżaj ztąd przed memi imieninami. Wasylko zaś odrzekł: bawić tu nie mogę; w domu wojna mię czeka. I przysłał ku niemu Dawid: Nie odjeżdżaj bracie! woli brata starszego nie sprzeciwiaj się. I nie chciał słuchać Wasylko. I rzekł Świętopołkowi Dawid: Widzisz jak cię lekce waży chociaż jest w twoim ręku; niechno wróci do swojej włości, a obaczysz jak ci Turow i Pińsk i inne grody twoje zagrabi; i spomniesz sobie moje słowa. Zwołaj więc Kijowian, zchwytaj go i mnie oddaj. I usłuchał go Świętopołk. I posłał do Wasylka mówiąc: Jeśli już nie chcesz zostać tu do mych imienin, to odwiedź mię dziś, zabawimy się wraz z Dawidem i pożegnamy. Wasylko obiecał przyjść nie wiedząc o podstępie. I wsiadł na koń Wasylko i jechał. I spotkał go jego urzędnik i rzekł mu: Nie jedź tam xiąże, chcą cię zchwytać! I nie usłuchał go myśląc sobie: Jakże mieliby mię chwytać? Wszak przysięgali: kto się na kogo targnie, przeciw temu będziem my wszyscy i Bóg. To pomyślawszy przeżegnał się i rzekł: Niech się dzieje wola Boża!

»I przybył w małej drużynie na dwór xiążęcy. I wyszedł przeciw niemu Świętopołk, i wprowadził do izby. I przyszedł Dawid, i usiedli. I począł mówić Świętopołk: zostań z nami przez święto. I rzekł Wasylko: zostać bracie nie mogę, jużem wysłał naprzód moją drużynę. Dawid siedział jak niemy, Świętopołk zaś rzekł: to zjedz z nami obiad. I przystał na to Wasylko. I rzekł Świętopołk: bawcie się tu, a ja każę przyrządzić jedzenie. I odszedł, a Dawid został z Wasylkiem. I począł Wasylko mówić do Dawida, a Dawid był bez głosu i bez słuchu; dręczyło go sumienie bo chytrość w swojem sercu ukrywał. I posiedziawszy trochę Dawid, rzekł: gdzie jest brat? I powiedziano mu: stoi w sieniach. I wstał Dawid mówiąc: pójdę poń, a ty bracie zaczekaj. I wstawszy wyszedł. I jak tylko wyszedł Dawid, wzięto Wasylka do więzienia, zakuto go w podwójne okowy i postawiono przy nim straż przez noc. Byłoto dnia 5. listopada“.

»Świętopołk zwołał bojarów i lud kijowski i oznajmił im że go ostrzegł Dawid o zamysłach Wasylka, mówiąc: Brata twojego zabił, a na ciebie spiknął się z Włodzimierzem; chcą cię ubić i zająć twoje grody. I rzekli bojarowie i lud: Tobie xiążę

należy głowę swoją przed niebezpieczeństwem ochraniać. Jeśli Dawid powiedział prawdę, Wasylko karę za nią odniesie; jeśli zaś powiedział nieprawdę, spotka go zemsta, i Bogu za to odpowie“.

›I dowiedzieli się o tem Ihumenowie, i jęli prosić za Wasylkiem u Świętopełka. I rzekł im Świętopełk: oto Dawid›.

Dawid nastawał na oślepienie i mówił Świętopełkowi: jeśli tego nie uczynisz, tedy ani ty się nie osiedzisz w swojem xięstwie, ani ja w mojem.

›Tejże nocy wywieziono Wasylka do Białogrodu, odległego od Kijowa o 10 wiorst. Okutego wzięli z kolasy i do izdebki małej wprowadzili. Ledwie w niej usiadł, postrzegł że owcarz Świętopełka, Torczyn rodem, na imię Berendy, ostrzy nóż. Domyślał się co to znaczy; zalał się łzami i wzniósł ku niebu wielki krzyk i jęk. I wszedł Snowid Izeczewicz, stadnik Świętopełka, i Dymitr stadnik Dawida, rozpostarli na ziemi kobierzec i jęli kłaść nań Wasylka. I krzepko się z nimi borykał i powalić go o ziem nie mogli. I weszli drudzy i powalili go i związali. I zdjęli z pieca deskę i położyli mu na pierś. I siadł Snowid Izeczewicz na jednym końcu deski, a Dymitr na drugim końcu, i udzierzyć go nie mogli. I przyszli drudzy dwaj, i zdjęli z pieca drugą deskę, i usiadłszy przydusili go tak mocno że kości w piersiach trzeszczały. I przystąpił Torczyn trzymając nóż i chcąc w oko uderzyć. I chybił oko i skaleczył mu twarz. I ma Wasylko bliznę na twarzy po dziśdzień. I potem uderzył nożem w oko i wyjął źrenicę, a potem w drugie oko i wyjął drugą źrenicę. A Wasylko leżał jak martwy. I wynieśli go na kobiercu, i jako martwego na kolasę włożyli, wioząc do Włodzimierza.

›I gdy go wieźli stanęli za mostem zwiżdeńskim na targowisku, i zdjęli z niego koszulę, bo była zakrwawiona, i dali ją wyprać popadii. Popadia wyprawszy ją włożyła nań, podczas gdy tamci byli u obiadu. I widząc go martwym jęła płakać. I ocucił go płacz jej, i rzekł: gdzie jestem? I powiedziano mu: w grodzie Zwiżdeniu. I prosił wody, i dano mu. I gdy się napił, jakoby dusza w niego wstąpiła; opamiętał się; pociągnął ręką po koszuli i rzekł: pocoście ze mnie zdejmowali? niechbym umarł w koszuli krwawej i w niej stanął przed Bogiem. Tymczasem tamci obiad zjadłszy wsiedli i szybko z nim pojechali; a jechali drogą grudnistą, bo to było w miesiącu grudniu, to jest nowembrze. *) I szóstego we Włodzimierzu z nim stanęli.›

Czyn ten wywołał na nowo całe pasmo wojen domowych. Włodzimierz monomach, jak tylko się dowiedział o oślepieniu Wasylka wezwał dwóch Świętosławiczów: Dawida i Olega, i szedł z nimi na Świętopełka. Tłumaczył się im Świętopełk że Dawid Zgorowicz, włodzimirski, upewniał go o zmowie tajnej Wasylka z Włodzimierzem monomachem: monomach miał posiąść Kijów a Wasylko Włodzimierz wołyński. Zresztą, dodał, nie ja oślepiłem Wasylka, lecz Dawid. Odpowiedziano mu: nie waż się tego mówić że go oślepił Dawid; wszak nie w Dawida grodzie pojman był i oślepion, lecz w twoim. I gotowano się do przeprawy przez Dniepr. Świętopełk chciał uciekać. Wstrzymali go Kijowianie i posłali xiężnę Wsewołodową i metropolitę Mikołaja do monomacha aby go przejednać. Stanęła umowa taka, że Świętopełk poprzysiągł wyprawić się sam na Dawida, i albo go pojmać, albo z włości jego wypędzić.

C. d. n.

*) Z tych słów widać że ten miesiąc który teraz listopadem nazywamy, w owym wieku nazywano grudniem.

Z dawnych kalendarzów polskich przekonać się można że i innych miesięcy nazwiska znacznie się różniły od tych jakie im dziś dajemy.

Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego przez Edm. Stawiskiego. Warszawa 1858.

Rozbiór Józefa Supińskiego.

Praca ta obejmująca 380 stronnic, umieszczaną była częściowo w Bibliotece warszawskiej już przed ośmiu czy dziesięciu laty, a dopiero w roku 1858 doczekała się oddzielnego przedruku. Mimo to, jej pojawienie się i jej przedruk są wielce pocieszającem w literaturze naszej zjawiskiem. Literatura, a wyraźniej mówiąc, piśmiennictwo każdego narodu i każdej epoki, jest odbiciem, jest wystąpieniem na zewnątrz rozwijających się w łonie jego uczuć, poruszeń i skłonności. Kronikarze otwierają wszędzie spisywane ludów dzieje; historye specyalne pojawiają się dopiero na wysokości, z której sąd publiczny, patrząc na szerokie przeszłości pole, zaczyna dostrzegać i odróżniać w nawale imion, wypadków, tłumionych jedne przez drugie i burz głuszących ukryte pod niemi życie, to co było istotnie życiem, i to z czego się wylewała siła zasilająca te głośne imiona, te uderzające wypadki, i te ciągłe burze. Historye specyalne mnożą się w miarę postępującego wykształcenia; one się rozpadają, tak jak wszystkie inne umiejętności na części drobniejsze, z których każda pęcnieje sama w sobie, i sama w sobie dochodzi dawnych rozmiarów.

Z radością witamy historyę rolnictwa naszego, stającą dziś obok znamienitych dzieł historyi literatury, szkół i innych; witamy ją z tem większem zajęciem, że ona pierwsza oderwała nas od jednostronnego parcia i skierowała uwagę naszą w stronę lekceważoną dotąd, a w której przecież odbywała się główna praca narodu, wzdłuż trwania społeczności naszej; — w stronę gdzie jaśniało nasze domowe życie, gdzie biły życia zbiorowego tętnice, zkąd wychodzili na scenę świata polscy Cyncynaci.

Dzieło Stawiskiego nie jest dziełem technicznem; ono zaledwie zahacza po drodze sposobów dawnej uprawy, których znajomość już dziś byłaby tylko zaspokojeniem ciekawości naszej; — autor sięgnął głębiej; on rozwinął nasze wewnętrzne stosunki, on przedstawił nasze domowe dzieje ze stanowiska, które obrał za punkt widzenia. W narodzie

*

czysto rolniczym, dzieje rolnictwa są rzeczywiście jego wewnętrznemi dziejami: na niem usadowiło się jego istnienie, na niem rozwinęły się jego społeczne stosunki, na niem się oparła jego towarzyska hierarchia, na niem dojrzewały i pod jego jeszcze zasłoną wyradzały się i paczyły cywilne i polityczne prawa.

To połączenie i ta zawisłość wszystkich ruchów towarzyskich i wszystkich usposobień narodowych od kierunku jaki weźmie w łonie jego to, co jest jądrem jego istnienia, uchodzi łatwo baczności naszej, bo skutki leżą opodal; bo spisane dzieje przeszłości rzadko są wyjaśnieniem przyczyn nurtujących cicho, z dawna, i w głębinach podwaliny społecznej budowy.

Jeżeli niełatwem jest zadanie skreślić obraz długiego żywota wielkiego ludu, jakże trudnem być musi zbadanie i rozkład pokarmu strawionego, na którym się ten żywot rozwijał, a który niekiedy przesycił organizm społeczny i ku upadkowi chylić go zaczął. Stawiski puścił się wstecz z tą myślą, lecz nie znalazłszy ścieszki wśród ciemnic i gruzów zalegających rozległe równiny, niekiedy nawet zwiedziony napotkanemi śladami, często domysłom naszym zostawia, czego ostatecznie wyrzec nie śmie, bo to ostateczne nie pojawiło mu się jeszcze dość jasno, wyraziście i stanowczo. Wypadki społeczne nie są nigdy zbiorem samych nieszczęść, lub samych powodzeń: — te same przyczyny, często odmienne sprowadzają skutki, podobne skutki często z różnych płyną przyczyn. To zwikłanie, obok nawału jaskrawych wypadków innej natury, bałamuci sąd patrzącego, a przynajmniej odbiera mu śmiałość wyrokowania. Mamyż we trzech słowach określić treść nieocenionych badań Stawiskiego? Pliniusz wołał głosem pełnym boleści: *latifundia perdidere Italiam!* Latifundia stłumiły wielkość Hiszpanii, obaliły dawną monarchię francuzką, pomieszały wewnętrzny Niemiec rozwój, dziś grożą przyszłości Anglii; one zalały trucizną słodką i zwolna tylko trawiącą wnętrza społeczności naszej. To bolesne spostrzeżenie urabia się w czytającym, i narasta z drobnych ukruszyn rozrzuconych po dziele całem, gdy się je czyta po raz pierwszy; wszakże kto je weźmie powtórnie do rąk, lub przystąpi do niego przygotowany, dostrzeże tam z łatwością tę wielką, historyczną i niezaprzeczoną prawdę.

Z końcem XV wieku rozpoczyna się nasze przeobrażenie; pojawiają się rozległe folwarki, łany dworskie zagarniają grunta kmiece; chłopi wydziedziczeni i szlachta biorąca górę w społeczeństwie rozchodzą się coraz dalej w kierunkach odwrotnych od miejsca dawnego zetknięcia: przyjdzie czas, gdy państwo przestanie być narodem.

Reforma rolnicza rozpoczęta w XV. wieku, dopełnioną została w XVI. Wielka uprawa wzięła górę stanowczo i przeszła granice naturalne (194). Rosnące gospodarstwa folwarczne, wywołują potrzebę rąk pracujących nie dla siebie. Tu rozpoczyna się szereg ustaw biorących w opiekę latifundia kosztem ludności wydziedziczonej: prawodawstwo używa wszelkich środków, aby uczynić zadość ich potrzebie: czynsze ustępują miejsca robociznie (86). Ogół ludności krajowej przeobraża się szybko, a z nią dawna zamożność i obyczaje: w miejscu wolnych dawniej chłopów pojawiają się rozliczne rodzaje ludzi do robót folwarcznych używanych, bądź zagrodników, bądź luźnych alias hultajów (37). Statut toruński wyrzekł ostatnie słowo, on pańszczyznę uprawnił i określił ją tygodniowo (73).

Rozdarta raz społeczność, wszedłszy na inną drogę, posuwa się po niej coraz dalej, krok raz uczyniony, znagla do dalszego pochodu. Dzieje Anglii, Francyi i Niemiec przedstawiają podobne przejścia; lecz gdy dzieje państw tamtych napstrzone jaskrawością możnych wśród nadużyć, cierpień, niedostatku i poniżenia ludu, są niemal jednym ciągiem bezpraw wywołujących w końcu srogie katastrofy, u nas przelewanie się wszystkich praw społecznych w jedną stronę, było więcej uczuciem małoletności drugiej strony, było rozwinięciem opieki jednych nad drugimi. Jakoż, nowe zasady sądownictwa nie uważają chłopów za mocnych do działania sądowego (145), i oddają ich opiece panów. Lecz opieka osób pojedyńczych nie zastąpi opieki prawa. Chłopi wydziedziczeni, z rolników zamożnych nędzarze, uchodzą przed uciskiem z miejsc przypominających im dawne swobody. Włóczęgostwo i niemoralność stają się życia trybem. Ostrość praw znagla jednych do nieposzanowania onych, a ich pomijanie wywołuje z drugiej strony coraz ostrzejsze ustawy. W XVII stuleciu już całe wsie opuszczają panów swoich (183), chroniąc się do dóbr królewskich, a nowo pojawiająca się konstytucya zamyka przed nimi te ostatnie wrota.

Jakże różny widok przedstawia się oku patrzącemu na dwa wielkie żywota naszego okresy. Włości nasze w XIII i XIV stuleciu, stanowią prawdziwie mozajkową rozmaitość. Na jednej dziedzinie mięszają się różnych rozmiarów i rodzajów posiadłości: cząstki dziedziczne, posady rycerskie, łany wolne, osady, a na tych gruntach kmiecie, służebni, czynszownicy, rzemieślnicy, sołtysi, lub drobne rycerstwo. Ci zajmują się rolą, ci rybołowstwem, ci pszczelnictwem; — ci składają część swoich płodów, ci płacą czynsze, ci obok opłat uiszczają się cząstką pracy (85). Folwarki niewielkie ginące w tłumie cząstkowej uprawy (29) są częścią wielkiej całości, a nie ich sercem i głową, do których później wszystko się zbiega. W XVI wieku waga zaczyna się chylić w jedną stronę: system folwarczny bierze górę, a wolna dotąd ludność rolnicza staje się stopniowo wydziedziczonym robotnikiem dworskim (87). Ręce opadają, gdzie owoce długich i ciężkich usiłowań wystawione są na igraszkę dowolności (91).

Dziwnym wydałby się ten wewnętrzny pokój, ta cicha uległość naszej wiejskiej ludności utracającej dawne swobody, prawa i mienie, gdybyśmy nie napotykali z drugiej strony w domowych cnotach szlachty naszej potęgi łagodzącej to, co suche i zimne wykonywanie ustaw byłoby nieznośnem uczyniło. Dzieje nasze nie znają buntów chłopów, które tyle cierpień i nieszczęść sprowadziły w Niemczech, Francyi i Anglii, bo u nas aż po okres w którym obczyzna przemogła stanowczo, dotrwały w łonie równie wyższych jak niższych rodzin polskich, pracowitość, oszczędność i ludzkość. Przesądy były liczne, prawo ciężkie, ale obyczaje czyste i surowe, a głęboka obok nich religijność, znośnemi czyniła stosunki jednych klass do drugich. Prostota, prawość i tradycye, zacierały poniekąd, a przynajmniej łagodziły praw nierówność. (266) Jednym z naj-

silniejszych dowodów tej ojcowskiej ludzkości, jest przywiązanie, wierność i sumienność sług, o jakich dziś już nawet pojęcia nie mamy.

Wszakże mimo to, prawo wspólne dla wszystkich, lub opieka prawa rozciągająca się ponad wszystkimi w wiekach Kazimierzów i Jagiełłów (60), znikały coraz więcej w społeczności naszej. Rozpadanie się prawa było i będzie po wszystkie wieki rozpadaniem się narodu, zatem początkiem niemocy, którą tylko nagłe wstrząśnienia, lub wielkie poświęcenie powstrzymać niekiedy zdołają. Swoboda jednych, rozwijająca się na ucisku drugich, wyradza dawne cnoty i obyczaje, a „w miarę (są to słowa autora) jak najliczniejsza klasa narodu upadała moralnie i materyalnie pod naciskiem nowych praw i zwyczajów, druga jego część, w stosunku narastających dostatków i ulg od obowiązków publicznych, poczynała okazywać skłonność do miękkości i przepychu; poczynała tracić dawną prostotę obyczajów, zamiłowanie obozu i życia twardego, nawyknienie do pracy i wstrzemięźliwości“ (187). Nowe gospodarstwo oparte już na prawach przymusowych, centralizacya dominialna chłonąca dawne życie i samodzielność gminy, kunsztowna i fałszywa budowa towarzystwa, (265) podkopały budowę społeczną. Wkrótce zbytek miesza się z ubóstwem i nieładem; przepych i pańskość wygania istotną gościnność, a nieraz poczciwość i rzetelność (276) bo „rozliczne choroby gnieżdżą się w ciele, które oddycha powietrzem zepsutem“. (271)

Wiek XVI jaśnieje w dziejach naszych jako wiek wysokiej umysłowej uprawy; — koniec jego powiedzieliśmy był początkiem przeobrażeń w społecznych stosunkach. Czasy które poprzedziły to przełamanie się dążności i pojęć, przedstawiają miły a razem bolesny widok: miły, bo tam widzimy siłę, sprawiedliwość, zadowolnienie powszechne, bolesny, bo ten stan rzeczy mógł się rozwijać ciągle, bo rozwojowi naszej narodowej potęgi, nic z zewnątrz nie zagrodziło drogi.

Chwilowe korzyści uwiodły przodków naszych. W trzech ostatnich wiekach, światy nowe otworzyły zachodniej Europie rozległe pole przemysłu. Siły jej zwróciły się ku tej stronie, zostawiając innym krajom, a głównie Polsce możność zaopatrywania jej w płody ziemiańskie, których produkcya podówczas była jeszcze dziełem więcej przyrody niż sztuki. Ogromny i cwałem rosnący odbyt, niemógł nie złudzić w czasach, gdzie obcemi jeszcze były prawdy zdobyte później przez ekonomię polityczną. Zawód ten mógł spotkać państwa zachodnie, lecz niebo chciało inaczej, bo powodzenie państw tamtych rozlewało się na wszystkie narodu stany; — u nas przesadzona pomyślność jednych, oparła się na upośledzeniu innych. Równowaga wywozu z produkcyą zaczęła znikać; podsuwane z zewnątrz sztuczne ruchy, pomagały łudzić oczy niewprawne, sztuka znikła, przemijające potrzeby ustały, a zaród złego zapuścił głębokie korzenie, których wydobycie stało się olbrzymiem zadaniem; zadaniem, na rozwiązanie którego już nie wystarczyło czasu!

Odległe wstecz przyczyny pierwsze klęsk i boleści, pojawiają się dopiero późniejszym pokoleniom, dość już odległym by je naraz i w całości ogarnąć mogły; — niedość jeszcze odległym, by ich widok skrył się przed niemi zupełnie' lub by ich działanie usnęło. Czego my już nie dostrzegamy to dostrzegli nasi dziadowie. Niedługo, bo nie wiele nad jedno stulecie trwające powodzenia i obfitość stanów wyższych, głuszące coraz większe u dołu cierpienia i niedostatek, przeradzać się musiały stopniowo w niemoc powszechną, bo potęga państwa tylko na zbiorowej potędze narodu oprzeć się może; bo wycieńczeni nie mogą być siłą.

Te główne prawdy, ten rozum stanu, i to poczucie sprawiedliwości ziemskiej, rozwinięte zdawna na religii i moralności, które nigdy nie wygasły zupełnie w sercach przodków naszych, zwracały ich uwagę w stronę, w którą gdzie indziej tylko opór ludu zwrócić zdołał wyższe pokłady. Ludzie bystrzejszego widzenia, Ostrorog, Górnicki, Starowolski, przewidywali pierwsi dalsze następstwa zerwania dawnej równowagi; — „wszyscy się niesiemy, wołał Modrzewski, jakoby w jednej łodzi rzeczypospolitej,—gdy jeden członek ciała utrapienie cierpi, drugim miły żywot nie może być“ (179).

Zubożenie najliczniejszej klasy narodu, pociągnęło miast upadek, miast pracowitych i zamożnych przed dwoma wiekami, dziś nędznych miasteczek, wypełnionych brudnem i lichwiącem żydowstwem. Bogactwo dworów szlacheckich, wabiło do Polski podróżujących dawnym obyczajem mnóstwo kupców szkockich, niemieckich, moskiewskich, węgierskich, greckich, ormiańskich, włoskich i perskich (186), którzy przejeżdżając kraj w rozmaitych kierunkach, zaopatrywali je w wyższe potrzeby i zbytki. Powołaniem miast było zaopatrywać lud wiejski; — ubóstwo tego, zubożyć musiało tamte; — upadek miast, i zdziesiątkowana ich ludność, zamknęły wrota przed płodami rozległych folwarków, których wywóz za granice ustawał, a których kraj sam, przez wewnętrzną zamianę, spotrzebować już nie mógł. W życiu narodów jest pewna wewnętrzna solidarność powodzenia i cierpień, której zerwanie sprowadza prędzej lub później cierpienia wspólne i powszechne, bo nigdy nie pogodzą się z naturą społeczną, przesycenie obok niedostatku uciechy wśród żalów.

Takie koleje przechodziło rolnictwo nasze; a los rolnictwa był losem narodu rolniczego. Jeżeli dzieje przeszłe mają być nauką późniejszych pokoleń, należy w nich szperać zatem i uwydatniać to, w czem biły życia narodowego tętnice. Stawiski pojął to wzniosłe dziejopisa powołanie, lecz przewidywał że niedość zrozumianym będzie, bo umysły, powiada on, nawykłe oglądać przeszłość naszą w dramatycznym obrazie historyi, patrzyć na nie przez fantastyczny pryzmat poezyi, albo się nią pieścić w naszem powieściopisarstwie (253), niełatwo w tych suchych zasmakują obrazach. Wszakże obrazu, który my tu przedstawiamy pociągnieniem kilku grubych i ogólnych rysów, czytelnik nie znajdzie gotowego w dziele Stawiskiego; ale obraz ten zarysuje się w umyśle każdego, kto, powtarzamy, w poszukiwaniach do historyi rolnictwa, szukać nie będzie historyi techniki rolniczej; kto zna trudności towarzyszące określeniu rzeczy, których piszący nazwać nie śmie właściwym wyrazem; czyj wreszcie umysł wprawny w wydobywaniu prawd oderwanych z natłoku mieszających się faktów, dojrzy w nich to co jest ruchu bodźcem i zarzewiem.

Autor ku końcu dzieła swojego powiada pod uciskiem tęsknych wrażeń, jakie wyniósł z rozległych badań: Nauczyliśmy się, że odwieczne, święte prawdy sprawiedliwości, panują nad społecznościami, i że bez nich nie ma trwałości. Próżno przekuwać prawa, jeżeli nie ma świętości w sercach, a wyższego światła w rozumach; dobro nawet rozkruszy się w prądzie obyczajów lecących ku złemu. Jest świat wyższy przekonań i wiary, do którego odnosić się muszą ustawy i w nim siły swoje czerpać. Duch miłości bliźniego i pewne ofiary muszą przejąć organizm towarzyski, bo na tym dopiero cymencie wznieść się może budowa trwała. Prywata i egoizm, czy owładną jednego człowieka, czy jedną klasę ludności, czy jeden naród w rodzinie narodów, ściągają burzę i upadek. One same siebie pożerają i trawią. Rzetelna tylko praca jest źródłem postępu, praca umiejętna z jednej strony, z drugiej oswobodzona z więzów (270).

Nie ma zapewne narodu, na którymby nie ciężyły grzechy przeszłości, bo narody są ludźmi tylko. Życie późniejsze zaciera dawne przewinienia ludzi i ludów, ono musi zatrzeć dawne grzechy, lub zatrzeć resztę istnienia. To przekonanie włożyło na nas obowiązek obznajmienia czytelników naszych z pracą Stawiskiego.

Styl dzieła tego jest pełen prostoty, jasności, wdzięku, i tej rzewnej serdeczności, w której się malują czyste piszącego chęci i uczucia. Żałujemy że autor przenosząc się niekiedy na stanowisko ekonomii politycznej, podnosi za wysoko znaczenie i wartość pieniędzy, czego następstwem jest dawna wiara w bilans handlowy, który od pół wieku przeszedł w śmieszność podobną do prac alchimistów wywołanych tem samem błędnem przekonaniem. Błędy podobne w dziełach wzorowych, rozszerzają się łatwo i wikłają niedość jeszcze ustalony sąd publiczny.

Oczekujemy z niecierpliwością obiecanych (12) dalszych poszukiwań, których ostatecznym celem jest rozwinięcie przed oczami naszemi odległych przyczyn późniejszej niemocy; życząc krajowi by dzieła podobne, by mozoły i prace literatów naszych, okupione zwykle zdrowiem, często niedostatkiem, niekiedy życiem, nie przemijały bez ogólnej narodowej korzyści.

Z TEKI LWOWSKIEJ W. P.

Z pracowni rzeźbiarza naszego Godebskiego, wyszło temi czasy ukończone popiersie byłego namiestnika a dzisiejszego ministra spraw wewnętrznych, modelowane z natury, które zaszczyt czyni młodemu artyście.

Popiersie to znajduje się obecnie na wystawie sztuk pięknych w Wiedniu.

Nie chcemy tu już nawet mówić o podobieństwie postaci, które jest koniecznym warunkiem tego rodzaju zadania — o znaczących liniach rysów pochwyconych żywo i wiernie — ale pragniemy w tej pracy naszego artysty, zwrócić uwagę na nierównie trudniejsze zadanie, które sam sobie, jak się zdaje postawił, i które bardzo szczęśliwie rozwiązał.

Poważny spokój postaci, jest zadaniem każdej rzeźby bez względu nawet na obór przedmiotu, bo każdy posąg przedstawia jedną tylko chwilę środkami plastyki wydaną, i w tej jedynej chwili, musi artysta skupić to wszystko czem ma posąg do nas przemówić i ogarnąć wszystkie szczegóły spokojem posągowym w jedną całość.

Na pierwszy rzut oka, jest wybitną cechą popiersia o którym mowa: głębokie, pełne powagi zamyślenie. Wszakże czem dłużej się w nie wpatrywać, tem więcej życia i ruchu nabierają rysy i każdy szczegół wybitniejszy, dziwnie z drugiemi zgodzony, odsłania grę duszy i naprowadza na coraz nowe wrażenia i myśli.

Z tła założenia głównego, że tak powiem, z owego zamyślenia pełnego powagi występuje, za czułem dotknięciem dłóta — w odpowiednich organach — dar kombinacyi, bystrość pojmowania i energia charakteru — na to zdaje się położył artysta przycisk, i przyznać należy, iż mu się wybornie udało wywiązać się z trudnego zadania — bo z zupełnie innem wrażeniem odstępuje się od tego popiersia, niż się do niego przystąpiło — przystępuje się z wrażeniem spokoju a odchodzi się z grą w duszy, która nawet w białości marmuru widzi grę barw życia, a w oku wytężoną źrenicę męża stanu.

O ile to popiersie pod względem pojęcia artystycznego uważamy pojęte żywo i prawdziwie, o tyle odpowiada techniczne wykonanie artystycznemu pojęciu, jak naprzykład wykończenie ucha i partyi włosów, bardzo sumiennie widzimy studyowane a poczęte i oddane w duchu antyków.

Dla opatrzenia drugiej pracy tego artysty, udajemy się do zbiorów Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. W pokoju właściciela jest kącik poetów polskich, umieszczonych ponad kominkiem i siedzeniem głównem — tu tedy jest pośrodku umieszczony medalion naturalnej wielkości z białego marmuru dłuta Godebskiego, dawniej jeszcze wykonany, przedstawiający Juliana Ursyna Niemcewicza, podług typu powszechnie znanego, z ostatnich lat życia poety, a właściwie dopiero po śmierci jego podany przez Oleszczyńskiego.

Medaliony naturalnej wielkości, pozostaną zawsze bardzo trudnem a nie bardzo wdzięcznem zadaniem. Starożytni lubili właściwie albo medale bite, lane czy w gummach rznięte drobnych rozmiarów, albo popiersia plastyczne, jeżeli już chodziło o oddanie postaci w rozmiarach naturalnej wielkości. Właściwem miejscem płaskorzeźb był u starożytnych pas fryzu w architekturze greckiej, a płaskorzeźby fryzu bywały podług rozmiarów budowli, większe lub mniejsze od naturalnej wielkości, ale nigdy takie, jak są postacie w naturze. Z tych wypróbowanych środków i wymiarów sztuki greckiej wypadałoby umiejętnie korzystać — medaliony naturalnej wielkości mają coś trywialnego i tę niemiłą prawdę powszedniego życia, bo rzeczywiście pochodzą one z czasów upadku sztuki i to upadku sztuki nie w starożytnej erze, lecz powtórnego upadku po „erze odrodzenia“. O ile w powszechności nowożytnej sztuce nie chcemy narzucać form starych, o tyle co do rzeźby, przyznać należy, że tylko ci byli panami form plastycznych, co wcielenie ducha w kształty cielesne pojęli i ukochali — ztąd są w rzeźbie pewne wskazówki i dane drogi, od których bez szkody odstąpić nie jest wolno.

Będąc tedy co do zasady przeciwko medalionom naturalnej wielkości, przyznać musiemy w tym medalionie J. U. Niemcewicza wykonanym przez Godebskiego podług typu Oleszczyńskiego, bardzo szczęśliwe użycie środków płaskorzeźby w oddaniu historycznej, tyle nam drogiej postaci! Zaledwo pojąć można czem to jest zrobione — bo małemi środkami, zaledwo kilku głównemi liniami, odrzyna się postać wiernie i występuje z tła mownie i jawnie — jestto piękna całość — na pierwszy rzut oka, jak gdyby rysunkowy szkic tylko, jak gdyby tylko kontur główny,

śmiało i poprawnie zakreślony, a pomimo to jest dziełem plastycznem, którego nie potrzeba dopełniać własną fantazyą, lecz gdzie wszystko jest dane, w syntezie ducha i kilku głównych linii, tworzących artystyczną całość.

W medalionach drobnych rozmiarów, dopełnia się wrażenie całości tem, że na jeden rzut oka jest tu wszystko ogarnięte i widne — niepospolitem wszakże zadaniem było w medalionie naturalnych rozmiarów, skreślić postać i pochwycić jej ducha w kilku głównych liniach a nie zostawić czczości, nie zdając sprawy ze szczegółów. Ztąd też powiedziałbym, że to jest dziwnie dobrze rysowana płaskorzeźba, przy której nie myśli się ani o rzeźbie, ani o rysunku, ale bezpośrednio o postaci — rzeczywiście jest zadaniem prawdziwem artysty, użycie niewielkich środków, a za ich pomocą wyprowadzenie wyższych rezultatów.

Nie mogę patrzyć na ten medalion Niemcewicza, żeby nie stawał w myśli zawsze żywo ustęp z pamiętników pani Hofmanowej charakteryzujący tak wiernie poetę w ostatnich latach jego żywota.

Kiedy się już znajdujemy w tym kąciku poetów—musiemy zdać sprawę ze czterech portretów Tepy, które do tego zakątka należą. Są to cztery obrazy, w kształcie dużych medalionów, przedstawiające Adama Mickiewicza, Teofila Lenartowicza, Bogdana Zaleskiego i Seweryna Goszczyńskiego, wizerunki z jednego czasu prawie — bo tylko portret Mickiewicza jest pozgonny, a trzy następne są z natury robione.

O portrecie Mickiewicza nie będziemy mówili, bo znajduje się w ręku wszystkich, jestto bowiem ten oryginał, z którego w zmniejszonych rozmiarach, kazało towarzystwo Przyjaciół sztuk pięknych krakowskie odbić rycinę, i rozesłało ją na premium członkom swoim. W swoim czasie pisano o nim wiele — artyści gorszyli się metodą tego rodzaju malowidła, które niewiedzieć do jakiego rodzaju policzyć wypadało — bo całość zdaje się na pierwszy rzut oka akwarelą, a wpatrując się lepiej, można się dopatrzyć pastelów i kredy a nawet w pojedyńczych dotknięciach, silnych intonacyach i cieniach lustru silnej gumy i farby olejnej — gniewali się przeto artyści na Tepę i na tę mistyfikacyę środków artystycznych, ale publiczność, która podług wrażenia przyjętego tylko ocenia dzieła sztuki, przyjęła ten portret Mickiewicza dobrze, a nawet tem lepiej, że się ukazał po zejściu wielkiego poety, i był na czasie bardzo pożądaną pamiątką narodowi wdzięczną.

Kiedym się po raz pierwszy wpatrywał w ten portret, rzekł mi ktoś z boku: „Proszę się nie gorszyć, w muzycznych fugach Bacha, nic nie słychać o skali tonów i wybryczków Paganiniego, a jednak słuchał go świat z podziwieniem i gdyby mógł wstać z grobu i zagrać, na nowo nie odmówiłby mu oklasku“.

Bardzo charakterystyczny jest portret Teofila Lenartowicza — na pierwszy rzut oka twarz powszednia i nawet dla tego, coby nie znał poety, widać, że podobieństwo jest wiernie ujęte; moralna i duchowa strona tego oblicza występuje dopiero w miarę rozpamiętywania spiewnych jego pieśni i odbytej drogi żywota.

Widać, że przez duszę przeszła wielka burza, że się uląkł Boga, siebie, świata i w tych zapasach starł siłę pierwotnego natchnienia — widać, iż raz złamany, nie odzyskał więcej sprężystości twórczej ducha, co więcej, że się nawet nie pokusił o to, aby powrócił na dawną drogę— tuż, że opadł w niemocy i długo w niej leżał.

Mimo stosunkowo ciepłego kolorytu w którym ten portret jest trzymany, jest to postać chorego człowieka, któremu brak sił i życia, warunków wyższej twórczości.

Tak daleko się odbił myślą, sercem, miejscem i laty od wszystkiego co kochał: że tylko przez gwiazdy związek z żywymi a tylko przez modlitwę z przeszłością.

Ztąd wyraz cichej, ale pełnej cierpienia rezygnacyi, rezygnacyi chorego człowieka na ciele, obołałego i złamanego na duszy, który przed światem kryje prawdziwy stan duszy — i jak mąż dobrej woli, gotów mu zawsze jeszcze sypać kwiaty i cacka, lubo sam już tylko w idealnej sferze ducha żyje.

W tem usposobieniu duszy, zamieniają się reminiscencye prostych głosów ziemi i ludu w filigranowe s i e l a n k i lirenki a natchnienia wyższe składają się w wonne i ulotne fantazmagorye w b ł o g o s ł a w i o n e p r z e c z u c i a przyszłego i lepszego życia . . . .

Całe oblicze ma więcej bierny i cierpiący wyraz — niż twórczy lub natchniony, jestto poetyczny duch na próbie w drodze oczyszczenia, cierpliwy, jak cała artystyczność jego utworów jest tego pochodzenia.

Po wyrazie tych oczu znać to, że pomiędy poezyą a modlitwą jego, nie ma linii granicznej świadomej — a pomimo to, kosztuje go zwrot myśli ku ziemi wiele — i krwią serca kreśli on te idealne obrazki pomiędzy ziemią a niebem zawieszone.

W portrecie Bogdana Zaleskiego podziwiamy szczęśliwie ujęty ruch duszy w pewnej chwili. Rysy są pochwycone żywo na nagłym zwrocie głowy, nieco podniesionej w górę.

Jest to jakieś wspomnienie żywe czy zjawienie chwilowe jakiegoś obrazu od stepów, którym duch poety pochwycony znagła zakołkował.

Zdaje się jak gdyby go zaleciała jakaś w świecie rozbita nuta Bojanowej pieśni, potęgą wschodnich wiatrów niesiona od mogił.

Jest coś rycersko nieugiętego w tym wyrazie spojrzenia — w tem podniesieniu głowy i rzuceniu wzroku w dal, znać raczej wpatrywanie się w przeszłość dziejową, niż w przestwór stepów zawianych dla duszy tumanem, chociaż tak tylko zwykli patrzeć ludzie, których oko do wielkich otwartych przywykło przestrzeni.

W zacięciu ust, jest pewna kozacza cierpkość do świata, z łagodną tęsknotą, wylaniem się na żywot duchowy i smutkiem myślącego czoła.

„Bo nie ma rady dla duszy Kozaczej,
U nas inaczej — inaczej — inaczej“.

Portret Seweryna Goszczyńskiego jest jako portret w tej galeryi poetów według nas najwyższej wartości. Całe dzieje naszego czasu, tak jak przez tę duszę poetyczną przeszły, natchnieniem geniuszu, pracą ducha, siłą charakteru podjęte, wypisały swe ślady na tem obliczu.

Dla psychologa mogłoby być odczytanie tego co Bóg i czas na tem obliczu wypisał, niepowszedniem zadaniem a zaszczyt czyni to Tepie, że szczęśliwą intuicyą tak pojąć, artystycznie streścić i wyświecić umiał tę posągową postać autora „z a m k u k a n i o w s k i e g o“. Co tu drobnych szczegółów, zaledwo widocznych prawie, składa się na wyświecenie prawdy tego oblicza.

Byli rycerze niegdyś, stojący na kresach ziemi, to rycerz stojący na kresach ducha w spokojnej i pełnej rezygnacyi odwadze, z uczuciem obowiązku stanowiska i straży duchowych kresów.

Znamy akwarelę, którą posiada August Wysocki tu we Lwowie, autora zamku kaniowskiego. Zajmującą byłoby rzeczą porównać z sobą te dwa oblicza, tego samego człowieka, oddzielone od siebie dwoma dziesiątkami lat — toż samo oko sokole, głęboko ossdzone w głowie, ale poe-

tyczna demoniczność wyrazu, przeszła na żywot wewnętrzny anachorety — tylko siła charakteru, powaga przekonań i spokojność duszy zdaje się coraz większą. Znać to, że osamiał w świecie, lecz zarazem i to, że walkę z sobą zakończył. — Oczy mają wyraz nocnego czuwania i cisza nocy zdaje się otaczać — tę duszę, a wzrok pełen wielkiej energii, jest wytężony w jakiś punkt odległy. Tylko po sile tego wejrzenia potrzeba się domyślać o c o c h o d z i? — usta widać że od dawna nic nie mówią, sercu widać nic mówić nie jest wolno od dawna, ale to wejrzenie stoi za wszystko, i tak patrzeć można tylko z poważnego stanowiska kresów duchowych.

Za niepowszednią zasługę poczytujemy Tepie pochwycenie indywidualności każdego z rzeczonych poetów i jeżeli już każda z tych postaci pojedyńczo wzięta jest całością zajmującą bardzo, to obok siebie postawione, wyświecają dopiero zasługę artystycznej intuicyi i dar rzadki widzenia prawdy.

Obok tych trzech poetów których Tepa z natury malował, powiedziałbym nawet, że traci portret Mickiewicze pośmiertny — nie widać tu tego sprawozdania z duchowego życia, co w trzech obok umieszczonych wizerunkach, które policzyć można do najlepszych u nas znanych historycznych portretów i najszacowniejszych narodowych pamiątek.

Zbiór ten kompletują fotografie Bajera przedstawiające J. I. Kraszewskiego, i Syrokomlę, znane medaliony odlewu Mintera naszych kilku znakomitszych uczonych i poetów, brązowe odlewy umieszczone na kominku: nagrobku Kazimierza Jagiellończyka, tudzież brązowe statuetki Wita Stwosza, M. Kopernika, Jana Kochanowskiego i Franciszka Karpińskiego.

Kronika literacka.

— H e n r y k N o w a k o w s k i napisał dramat w pięciu aktach pod nazwą: *Dwa pożegnania*, który wkrótce wyjdzie drukiem i równocześnie będzie na tutejszej scenie przedstawiony.

— Prawie równocześnie wyszły dwa wydania poezyi S t e f a n a G a r c z y ń s k i e g o. Jedno ozdobne, nakładem Ludwika Merzbacha w Poznaniu, czcionkami drukarni L. Martinet w Paryżu uskutecznione przez Stanisława hr. Skorzewskiego i pomnożone kilku dotychczas nieznanemi poezyami, oraz wierszem Odyńca na śmierć Garczyńskiego, opatrzone przedmową napisaną przez wydawcę i ozdobione wizerunkiem poety, rytym na miedzi; drugie w mniejszym ósemkowym formacie w Lipsku u Brockhausa pod tytułem: Biblioteka pisarzy polskich tom I. Poezye Stefana Garczyńskiego.

Kronika sztuk pięknych.

— W Paryżu przedstawiano dnia 8. Marca operę księcia Poniatowskiego: P i e r r e d e M é d i c i s, w czterech aktach a siedmiu obrazach, do której tekst pisali pp. Saint-Georges i Emilian Pacini. Już ostatnia próba tej opery wypadła nader świetnie. Próba taka zwykła się w Paryżu odbywać przy zamkniętych drzwiach wprawdzie, ale w obec zaproszonego grona przyjaciół autora i znawców sztuki.

Ponieważ tedy książe Poniatowski jako należący do najwyższych warstw towarzystwa urodzeniem, jako senator i dyplomata co do stanowiska osobistego, oraz jako kompozytor, jeden z uczniów i przyjaciół Rossiniego ma nadzwyczaj wiele poufnych przyjaciół, więc kółko przypuszczonych na tę próbę składało się z 1000 osób. — Hrabia Walewski, księstwo Meternichowie i inne imiona najgłośniejsze w dyplomacyi, rodzina księcia (między innemi jego piękna córka i synowa co we francuzkiem nastręcza sposobność do igraszki słów nigdy nie zaniedbywanej przez tamtejszych felietonistów), znakomitości literackie i artystyczne, nareszcie kwiat salonów paryzkich, damy w strojach balowych słowem było tam najświetniejsze zgromadzenie, jakie tylko mógł zebrać książę-kompozytor. Gdyby artysta jaki napisał arcydzieło, wytrzymałby zaledwie próbę z księciem pod względem świetności zgromadzenia i zajęcia wzbudzonego we wszystkich kołach towarzystwa — lecz gdyby P i o t r M e d y c e j s k i był oprócz tego że jest dziełem książęcem jeszcze arcydziełem, wtedy, twierdzą felietoniści francuzcy, nie ostałby się żaden artysta obok księcia-mistrza. —

To była tylko próba. Na właściwe przedstawienie, gdy je afiszami ogłoszono już nie było miejsc, i na afiszach stała zapowiedź że bilety wszystkie rozebrane. — Dekoracye same kosztowały 125 tysięcy franków, a Rossini, który pierwszy raz od lat 25 był w sali opery, zapewniał swego ucznia: Że kontent z niego i że bardziej był wzruszony sukcesem niż on sam. Pewien felietonista twierdzi, że krzesła opery były tego wieczora zdziwione, iż się zdybywały z najpyszniejszemi strojami pań zamiast niewypowiedzianej powszedniości męzkich ubiorów. Cesarstwo oboje, książę Napoleon, księżna Klotylda, wszyscy dygnitarze koronni, wszystkie damy dworskie, połowa Senatu, cała dyplomacya, wszystko co się liczy do literatury i świata artystycznego, cała arystokracya paryzka, stanowiły publiczność pierwszego przedstawienia. Wszystko w strojach balowych, panie jak najmocniej pogorsowane i obsypane dyamentami. Wykonanie sztuki było jak najdoskonalsze. Kompozycyę samą chwalą krytycy paryzcy, w ten sposób, iż unikają zarzutu pochlebstwa dla księcia, są więc skąpi z pochwałami, od nagany wstrzymują się zupełnie.

Różności.

— W Warszawie rozpoczynają się w tym miesiącu w sali Resursy kupieckiej na wzór wszystkich stolic europejskich wykłady przystępne astronomii, chemii i fizyki. Czytać będą z kolei pp. Prażmowski, Przystański, Lesiński, Alexandrowicz rozebrane między siebie przedmioty. Pierwszy odczyt o astronomii odbył się 17. Marca 1860. Dochód z bardzo miernej opłaty przeznaczono na cel dobroczynny.

— Piszą z kraju zabranego, że P o s t ę p „niewielkiej zkąd innąd wartości“ wielką ma wziętość tam dla swej eleganckiej powierzchowności i dobrych rycin.

— Piszą z Warszawy: W pewnej okolicy kraju naszego cała młodzież dała sobie słowo, że żadnym obcym językiem mówić do siebie nie będzie. Szczególniej ta klątwa rozciągniętą została na język francuzki, najbardziej jak wiadomo używany w salonach naszych. A że wszyscy ci młodzi ludzie są w ogóle majętni i odznaczający się niemałemi przymiotami duszy i ciała, wieść ta, rozszedłszy się prędko pomiędzy tutejszemi pannami, spowodowała nagły ich zwrot ku polskiemu językowi. I cóż się pokazało? Oto że z tych wszystkich ozdób naszych salonów, jak ci panowie utrzymywali, zaledwie bardzo niewielka liczba potrafiła poprawnie wyrażać się po polsku, niektóre zaś mówiły, jak guwernantki francuzkie, po kilkuletnim w kraju naszym pobycie. — Kronikarz warszawski kończy wierszykiem:

Święta miłości kochanej obczyzny,
Czują cię tylko serca salonowe,
Ty w paniach naszych grunt znalazłaś żyzny,
Ty im Balzakiem zawróciłaś głowę,
Bo dla paryzkiej większej podobizny,
Mózg potraciły iście te i owe.
Jakaż więc miota męczarnia ich duszą,
Kiedy po polsku męża szukać muszą? —

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z prasy pospiesznej E. Winiarza.